

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 1. IV. 1951 r.

Nr 13 (296)

ZDZISŁAW POLSAKIEWICZ

PRZY DRODZE

Droga do dworu biegła
w upręży zielonych kasztanów.
Tędy po pracę pędzał
Dziad w chłopską switkę odziany.

Tu ojciec pięści zaciskał,
ale milczały — beznadziejne,
długo w kasztanach dwór oknami błyskał
na ziemię panom przychylną.

Aż na drodze — ze wschodu czołgi...
czterdziesty piąty. Był styczeń,
gdy przed dworem wymarłym obliczem,
W kasztanach wiatr szumił znad Wołgi.

Opustoszały dwór
— z faszystami uciekli panowie.
Tablicę wciągnięto na wiekowy mur:
„Szkoła Rolnicza w Jackowie“.

Droga do szkoły wiedzie
— pójdą co dzień,
zdobędą wiedzę
młodzi.

Książka przyjdzie drogą i siądzie za stołem
pod strzechą niską.
Czytaj, pochylając czoło:
„...ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie...“

...kto ciebie, ojczyzno, odzyskał.

RZĘKI

Rzeki, ojczyzno rzeki
płyną, giną w oddali,
marzenie chłopców znad rzeki
nie ginie, płynie w socjalizm.

Cóż, że stare jest dno,
coż, że stara naszych Wisła woda?
Praca chłopięcych rąk
rzekom powraca młodość.

Dłoń, która przyszłość wielbi,
z ich powolnego szumu
socjalizm wprowadza do domu
rwącym strumieniem energii.

Jutro warszaty rozświetli,
na wsi gruszki żarówek zabłysną
i powstanie z walki sześciolatniej
pokój światu i ziemi nad Wisłą.

WŁADYSŁAW UDALSKI

ZACIĄG POKOJU

Koleżanko Lucyno!
Twoim oczom jaśniej patrzeć
w dni, które przez warsztat Twój płyną,
gdy na piersi — znaczek.

Apel wichrem obiegł przez Polskę,
wypredza spieniony czas.
ZMP w fabrykach, po wioskach
zaciąga straż.

W Łodzi namietność walki — czynem
jak w czasach barykad, boju.
Twoja dłoń zakreśla norm linie:
nowe zastępy Pokoju.

Trudem i blaskiem oczu tkaczy,
rośnięte za metrem metr.
Skruszały dawno stare plany
w gorące serce.

Towarzysze włókniarze!
Wam świat w bezpieczne ręce
jak sztandar przechodni.
Będzie w domach wesela więcej
w sercu — pogodniej.

PIOTR CHMURA

SPOTKANIA Z NAUCZYCIELEM

Pierwszy raz zobaczyłem go pod koniec listopada 1949 r., na wojewódzkiej naradzie w Rzeszowie, zwołanej w sprawie czytelnictwa książek w terenie. Kiedy wszedł na trybunę był już 7-ym z kolei, czy 9-ym mówcą. Ale kiedy przemówił, wszyscy się ożywili.

— Zaproszony na naradę — zaczął — przelałem Komitetowi szczegółowy wykaz rozwoju czytelnictwa prasy i książek na mojej gminie, Iwierzycy. Spodziewałem się, że podobnie postąpią inni delegaci. Oczekiwałem, że główny referat od tego zaczniesz i da nam w liczbach przybliżony obraz czytelnictwa wiejskiego w województwie. Jeśli zadanie to byłoby za trudne, jeśli zbrakoby dla wielu gmin danych, oczekiwałem referatu, charakteryzującego powiaty po przez kilka lub choćby jedną gminę.

Bo powinniśmy się podzielić doświadczeniami, jakie na pewno muszą być różne w każdym powiecie, skoro już w dwu sąsiednich gminach bywają inne.

Przykładem niech będzie — moja gmina.

Czy może być ona reprezentatywna dla całego województwa a nawet dla powiatu? Osądźcie sami. Po 1) oddalona jest od Rzeszowa o 23 km., od najbliższego miasteczka (Sędziszów) o 10 km. Z dala od magistrali, od szos, pośród bezdroży.

Po 2) tu właśnie przed wojną nie solono białą solą, tu zaparki lupano na czworo, tu dla małych dzieci okryciem były worki z plewą. Symbol rzeszowszczyzny — ekonomiczny. Ale był też i polityczny. Nockowa! To w naszej gminie. Ruchem ludowym kierowała tu KPP. Lata się krew chłopska w walce z sanacyjną policją.

Po 3) przed r. 1939 nie było w naszej gminie ani jednej stałej biblioteki, z której by masowo korzystano. Były jedynie parafialne, karmiące swoich czytelników lekturą dewocyjną i profaszystowską („Święty Franco“).

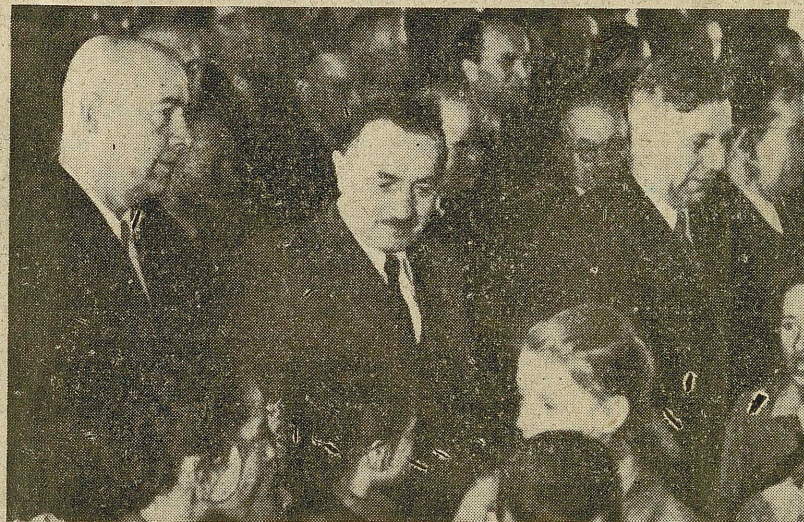
Oto punkt wyjścia w r. 1945. Czy uwierzycie? W tym roku prenumerat pisma na gminę (9 wsi) było tylko 10. (Dz. Polski — 3, Gazeta Ludowa — 7) w 46 — 22, w 47 — 106.

A w czerwcu br., ostatniego roku planu trzyletniego, na siedem wsi (5.740 ludności) przypada już 1224 pism, prenumeruje zatem co piąty, to znaczy w każdym domu gazeta.

Kto miał zacząć w naszej gminie i od czego rozwój czytelnictwa? W perspektywie był oczekiwany przełom — powstanie bibliotek gminnych. Ale od 45 do 49 r. nie mogło być próżni, nie można było nie walczyć. Więc jak? Kiedy plebanie rozrzucali darmo i masowo swoje piśmiennictwo, kiedy kusili do parafialnych bibliotek, kiedy odżył PSL i ciekawość chłopów zaspakała „Gazetą Ludową“, kiedy nie było w gminie bibliotek?

Podjęliśmy się tego zadania my, nauczyciele. Ruszyły szkoły, 8 na gminę. To była pierwsza baza. Szkolne biblioteki dla dzieci i młodzieży. Plan był prosty. Od młodzieży szkolnej do starszej, świetlicowej! A przez jedną i drugą, w gospodarstwie, w domy rodzinne! Nasze księgozbiory, na początku, w najlepszych swych pozycjach mogły dać i dały — jak to pokazała ankietka — „Robinsona Krusoe“, „Chatę Wujka Toma“, „Bitwę pod Raszynem“, „Antka“ i „Janka Muzykanta“. Takie młodzież zapamiętała, jako pierwsze rzeczy z lat 45 — 47. Nie mówię o stronie literackiej. Mówię o stronie wychowawczej, o budowaniu światopoglądu, orientacji w życiu i wiary w nie. To był słaby kapitał i słaby dynamit. Nadrabialiśmy wyjaśnieniami. Udało się je rozszerzyć na świetlice. Ankietka przeprowadzona wśród chłopów upewniła nas w tej metodzie. „Trzeba zaznajamiać ludzi, co daje nam książka i jak tę książkę dla własnej korzyści należy czytać“. Taka była odpowiedź chłopów. Na świetlicach wprowadziliśmy prasówki i gazetki ścienną. Bazą — powtarzam — było 8 szkół podstawowych i 1 Liceum Rolnicze. W budżetach szkolnych skąpiliśmy na różne rzeczy, aby dołożyć na biblioteczki. Porozumiewaliśmy się wzajemnie i uzupełnialiśmy księgozbiory różnym asortymentem, prowadząc wymianę między szkolną książką. Szło nam o

E. JANKOWSKI — Druga część „Antka“ CZ. SCHABOWSKI — Korespondencje analfabety
Z. WROBEL — Wychowanie budowniczych, komunizmu
ST. KRZEMIEN — Książka o klasie robotniczej A. BRAUN — Agitator wiejski
Z. DUTKOWSKI — List ze Śląska F. FENIKOWSKI — Czujność
P. PIGWA — Nie ma człowieka W. KIWILSKO — Walka klasowa w USA
A. MECH — Razem — ale jak? W. SMUŁA — Książka w rękach chłopów
Poezja ludowa górników czeskich



Prezydent Bierut wśród nauczycieli.

ci, co patrzę „gdzie się z komina kurzy“. Odrzucenia projektu nie dokonano bezzwłocznie. Wrog klasowy dobrze był zorientowany w naszej akcji szkolnej. Wiedział, co to znaczy uruchomić bibliotekę gminną na przygotowanym gruncie. Co to znaczy wydać bitwę parafialnej biblioteki dla dorosłych, dotąd bez konkurencji. Argumenty wroga były zamaskowane: biblioteka pociągnie koszty, które gmina będzie płacić. A „po reszcie“, kto chce czytać, niech se książkę kupi. To była cyniczna aluzja do naszych szkół i Liceum Rolniczego.

Następne posiedzenie Rady zostało obłożone przez młodzież ze wszystkich szkół, z liceum, z kół ZMP i świetlic. Marszu na gminę przelekkli się kulacy, choć było to tylko marsz dzieci i młodzieży. Ci radni,

najmity. Matka była najmity. Młody chłopak — 24 lat. Za czasów okupacji sprzedali go kulacy na roboty do Niemiec, wrócił w 1946 r. i po sześciu tygodniowym kursie dla nauczycieli zaczął uczyć. Z awansu społecznego, partyjny. W przyszłym roku sam kończy maturę. O, z głową i zawzięty!

Drugi raz zobaczyłem go 1 września 1950 r. Jechałem samochodem przez Rzeszów na Dębice. Na rynku w Sędziszowie przypomniałem sobie nauczyciela z Wiercan. Ile to stał? 10 km. Pogoda była piękna, późne popołudnie. Zawadzę, pogadam. Szofer wrócił z rynku rozpromieniony. Bocznica, ale 6 km świetnej, nowej szosy. W tym roku ją wybudowali. Kiwał głową z uznaniem. I tutaj nawet robią! Pomk-



Nauczyciel wiejski wśród dzieci.

co patrzę „gdzie się z komina kurzy“ w mig chwycili nowy wiatr. Radni partyjni przypuścili ostry szturm. Projekt został uchwalony większością głosów. Młodzież rozniosła po domach nazwiska oponentów. Powstał tumult po wsiach. Dalszy udział kulaków w Radzie Gminnej mógł być liczony już tylko na dni.

Upłynęło 10 miesięcy. Biblioteka gminna ma ośrodek centralny i sześć punktów bibliotecznych — po wsiach. Wypożyczeń dokonano za ten okres 4066. Ludności w gminie 8.000, jeśli odliczyć dzieci do lat 8—10 i stare pokolenie i przyjąć na pozostałych sumę 4.000, jeśli z kolei założymy, że przeciętnie każdą książkę czytały w domu 3 osoby, wypada w przybliżeniu 3 książki na jedną osobę. To przeciętna statystyka. Rzeczywistość wygląda inaczej. Wielu jeszcze nie czyta, ale też wielu czytało dużo.

Co tu jest ważne? Biblioteka pa-

neliśmy. Nie było mi jednak pisane pogadać z nauczycielem. Trafiliem na drugą w tym dniu uroczystość. Rano — dzieci. Po południu — rodzice. Na ganku szkoły — stół, za stołem, jak mogłem się domyślać — nauczyciele i zarząd Komitetu Rodzicielskiego, przed gankiem rzędy ław, na nich starzy, na murawie z jednej strony dorosła młodzież, z drugiej szkolna. Pewnie będą popisy artystyczne. I były potem. Kiedy zaś podjechał, akurat przed stołem na ganku wystąpił mój nauczyciel. Ot, masz — znów z referatem. Przycupnąłem na ostatniej ławie i słuchałem.

Najsamprzód chcę podziękować w imieniu szkoły za tak liczne zgromadzenie. Przecież tu są chyba wszyscy ze wsi. I nasi starzy, emeryci i młode żonki z dziećmi, a jednak szanowni rodzice, kogoś tu brak. I to, do sporej gromady. Nie ma tu 26 dziewcząt i chłopów, któ-

rzy skończyli w tym roku siódmy oddział... widzę, jak się uśmiechacie i jak oddychacie z ulgą. No i słusznie. Poszli dalej, poszli ich w tym roku do szkół średnich aż 26 sztuk! (oklaski i okrzyki: „Niech żyje szkoła“, „dziękujemy nauczycielstwu“).

— Nie dziękujcie szkole. Komu innemu należy dziękować. Pamiętacie, jak do roku 1939, żeby skończyć 7 oddziałów trzeba było chodzić do Sędziszowa — 10 bitych km? Pamiętacie, kto z naszej wsi kończył i kto szedł dalej? My gadajmy inaczej. Kto dziś szkołę wam przybliżył, kto masowo ułatwił waszym dzieciom dostęp do szkoły i czym dzieciom? I jakie to ma znaczenie dla was? Bo z czego sławna była przed wojną nasza okoliczność? Z nędzy i dzieci! Na 500 mieszkańców naszej wsi w szkole jest dziś blisko 200 dzieci! Oto, co tu obradza. A coście wyrobili, małorolni i średniacy dawali dzieciom przed wojną? Trudny był wasz rachunek gospodarski. A teraz nie jest trudny. Dajecie im przyszłość lepszą, niż sobie marzyliście we śnie. Kto wam ten rachunek gospodarski poprawił i ubezpieczył? I jak wam poprawił i jak ubezpieczył? Poszły wasze najstarsze dzieci do średnich szkół, a co jest z tymi tu w szkole? Na dożywianie wydano w tym roku 200.000 złotych. Sieroty dostają zapomogi, biedne dzieci — buty i odzienie. Starcy — prowiant. Tak to idzie na naszej wsi, która była dnem nędzy w Polsce przedwójkowej, w Polsce obszarników, burżujów i kulaków, (oklaski).

Poczekajcie, to jeszcze nie wszystko. Widzicie, jak obok nas, w gromadzie Będzin postawiono piękną szkołę, jak z drugiej strony w Gwierzycach, w dawnym pałacu, pracuje z nami Liceum Rolnicze, sławne na okolicę. Wiedziecie, że w projekcie jest wybudowanie i w naszej wsi nowego, wielkiego gmachu pod szkołę. A to wam jeszcze powiem z radością, że na budżet naszej szkoły, na rok 50—51, przeznaczono 900 tys. zł., kiedy jeszcze w ubiegłym roku tyle samo było na wszystkie szkoły w gminie, a w tym roku 5 milionów! Oto macie pierwszy rok Planu 6-letniego. (Oklaski).

Ja nie wiem, czy dzieci to nie więcej, niż pół rachunku rodzinnego. Ale liczmy pół. O pół te pół macie czy nie macie zapewnione i ubezpieczone?

— Wybuchają wśród oklasków okrzyki: „Ma się wiedzieć... widać jak na dłoni...“

— A czego uczą się wasze dzieci, tu w szkole i wyżej w zawodowych i na różnych praktycznych kursach? Czego?

— Socjalizm budować — krzyknął ktoś w tonacji, z której trudno było wnioskować: pochwała czy szydzi.

— Dobrze powiedział — podchwycił nauczyciel — uczą się pracować na korzyść robotników i chłopów, a na klęskę wrogów Polski Ludowej, wrogów pokoju i socjalizmu! A tyle będziemy mieć z naszych Wiercan za parę lat uczonych głów, ile ich nie zliczylibyście razem od czasów ks. Stojanowskiego i bardzo uczynego pana Wysocha, którzy nas tu przed pół wiekiem odwiedza!.

— Ale czy wy sądzicie, że tylko wasze dzieci uczą się i mądrzeją? I wy uczycie się z tej samej wielkiej księgi postępu, którą otwiera w nowej Polsce ludowa władza, a jak to mówią nasi „wszystko wiedzący“ kulacy — „dychtatura proletariatu“. Po raz pierwszy w historii naszej wsi użyliście w tym roku podczas zjazdu maszyn rolniczych, 1 spodobowało wam się. Z pięćdziesięciu najbardziej rodzin, nikt nie zaciągnął długu u kulaków, nikt nie zapisał się w odrodek. Zawrzało, co? Kulacy już poczuili kolchoz i zaczęli obsmarowywać spółdzielnię gminną. „Widzisz, co masz w tej spółdzielni? Cukru ile chcesz nie kupisz, żelaza ile chcesz nie kupisz, płótna ile chcesz nie kupisz, tak też będziecie mieć i w spółdzielni produkcyjnej“.

A czy co na to? Wyście uchwalili założyć filię spółdzielni w naszej wsi. To znaczy, żeście poparli spółdzielnię, że ją uznajecie za swoją

(Dokończenie na str. 2)

EDMUND JANKOWSKI

DRUGA CZĘŚĆ „ANTKA”

„Może spotkanie kiedy wiejskiego chłopca, który szuka zarobku i takiej nauki, jakiej między swoimi nie mógł znaleźć...”

Wówczas podaje rękę pomocy temu dziecku... — takimi słowami zakończył Prus swego „Antka”, jedną z najbardziej charakterystycznych nowel, poświęconych zagadnieniu zmarnowanego talentu chłopięcego.

Rzecz niewątpliwa, że pisarz dotykał tu jednej z najistotniejszych bolączek polskiego życia z okresu pozytywizmu, przy czym, jak wiadomo, nie sam apelował do uczuć humanitarnych społeczeństwa, bo temu samemu tematowi poświęcone były znane utwory Sienkiewicza czy Orzeszkowej. Różnica polegała na sentymentalnym pytaniu Prusa o czytelnika — w nas po latach budzi zainteresowanie, jak naprawdę mogły wyglądać dalsze losy Antków Janków i Sylwów...

I oto przeglądając listy Orzeszkowej natrafiamy na ślady jednej z takich historii. Początek jej opowiadała pisarka w barwnym liście z 20.IV.1882 r. do T. T. Jeża:

„Pewnego wieczoru, gdyśmy dookoła stołu przy herbatce siedzieli, wsunął się do pokoju i przy progu stanął chłopak całkiem mi nieznajomy, w chłopskiej odzieży bardzo ubogiej, z wielką, starą, wypchaną papierami teką pod ramieniem. Myślałam, że z czymś od kogoś przysłany. „Nie — odpowiada — ja do Pani... sam... po literackim interesie”. — Któż Pan jesteś? — „Włoszianin z powiatu Oszmiańskiego”. — „Jak się Pan nazywa?” — „Leonard Dziadul”. — „Proszę usiąść. Czego Pan żąda?” — „Chcę pisać. Piszę, nie wiem, czy to cokolwiek warte. Byłem w Wilnie u pana Chełmińskiego** i La-wendy (Zyd piszący po rosyjsku), powiedzieli mi, że nie nie umiem i że trzeba uczyć się. Pytałem się, jakim sposobem mogę uczyć się — powiedzieli mi, żebym jechał do Pani.”

W kilku słowach Orzeszkowa scharakteryzowała swego niespodziewanego gościa: „Dwudziestoletni, szczupły, z twarzą bardzo ładną, bladą, smutną, ze spuszczonej powieki, którą gdy podnosi, ciemne oczy rzucają błyskawicę i w spojrzeniu mają coś orle, przenikliwe i zarazem rozjątrzonego”. Przygotowanie umysłowe chłopca było dziwne, chaotyczne. Skończył prowincjonalną szkołę elementarną. Czytał dużo — w tym Mickiewicza... ale po rosyjsku. O Kraszewskim nie słyszał, za to czytał... Spencera. Poza tym pisał. Zapytany, co pisał? odpowiedział: „Wszystko: powieści, obrazki, wiersze, rozprawy społeczno-filozoficzne, jak pisał? Po rosyjsku, ale parę wierszyków i artykułków... napisał po polsku.”

Doszło naturalnie do próby: „Prosiłam, żeby czytał mi swoje prace, a gdy zaczął — osłupiałam. Talent pisarski niesłychany, inteligentna, intuicja odgadująca światy nieznane, podnosząca się do najtrudniejszych abstrakcji bez możliwości nawet nazwania ich po imieniu — zdumiewające. Naturalnie, chaotyczne — to jeszcze, wskutek wpływów otrzymywanych, krzywe często, pozbawione narzędzia takiego, jak dobra znajomość języka, ale zdolności ogromne. Niektóre obrazki po rosyjsku pisał, więc językiem nieco opracowanym w „narodnym uczulisku”, gdyby nie cenzuralne warunki, można by wnieść bez wstydu drukować.” I wreszcie syntezą: „Demagog, kosmopolita, komunista tymczasem. Dziadul ten niewątpliwie jest materiałem, z którego by nauka i przyjaźń wpływy wytworzyć mogły roznego miłośnika i znanego ludu a talentowanego pisarza.”

Co więc z nim robić? „Wymyśliłam — pisał w tymże liście Orzeszkowa do Jeża — aby dla zapewnienia czasu i zapewnienia sobie chleba na przyszłość, uczył się on rzemiosła jakiego, a parę godzin dziennie poświęcał lekcjom, systematycznie mu udzielanym. Na projekt ten z radością zgodził się, na projekt ten przystał z radością i wdzięcznością, niemniej rzemiosło wydaje mu się wstrętnym, to pewno, choć otwarcie tego nie powiedział.”

Od słów przeszła Orzeszkowa do czynów, choć przyznać trzeba, że kandydat na literata niefortunnie trafił do swej protektorki, do której tak wygodnie został „podrzucony” (wiadomo, pięknie pisał pani Orzeszkowa — niech więc się sama tym kłopotem zajmie)...

Jak na złość dla Dziadula, na Orzeszkową spadł cios nie lada — rząd carski zaniepokojony jej społeczno-literacką działalnością, pismem z Departamentu Policji z dn. 18.IV. st. st. 1882 r.) zamknął księgarnię i dom wydawniczy pod firmą „E. Orzeszkowa i S-ka” w Wilnie — narazając pisarkę na ogromne straty materialne i przykrość, z internowaniem na trzy lata w Grodnie...

Coś przecież zrobić trzeba, choć kłopoty wała się coraz większe — od czego zresztą dobrzy ludzie? Piszcie Orzeszkowa do znanego pomologa, prof. Edmunda Jankowskiego*, z którym pozostawała w korespondencji w związku ze swymi wydawnictwami wileńskimi. Poprosiła go Orzeszkowa, by ułatwił przyjęcie Dziadula do szkoły ogrodniczej w Warszawie.

Rzecz się udała, bo 14.X.1882 r. donosi Jankowski Orzeszkowej: „Dziadula przyszedł do klasy przygotowanej i był miłośnym uczniem, a utrzymywanie które przy szkole jest łatwe, bo i 150 rs. rocznie wystarczy, to go na porządnego ogrodnika w 3 lata wyprzymujemy.”

I pędziąc się widocznie znalazł (najczęściej z własnej szkatuły Orzeszkowej**) — ale z finansami Dziadula, jak i jego opiekunki, mimo to, kruczo było, a i pierwsze wystą-

pienia w stolicy nie były najlepsze, o czym tak w listopadzie tegoż roku pisał Jankowski:

„Donoszę w krótkich słowach, że tak szlachetnie przez Panią z bruku podniesiony Dziadul wydaje mi się dobrym i chętnym, lecz bardzo zaniepokojonym i nie mniej gapiowatym chłopcem. Pytał go np. profesor kaligrafii: „Czemu nie masz kajetu?” — „Bo książek nie kupiłem, a to jakże kupić kajet bez książek?” Jak żeby jedno od drugiego zależało. Jednakże pracować będziemy nad nim i niewątpliwie wyrobi się człowiekiem. Tymczasem jednak człowiek ten nie ma obiadów. Wprawdzie Szanowna Pani mu wyrobiła obiady u kogoś, ale to nie pojechał dotąd, tymczasem Dziadul potrzebuje koniecznie czynnego wsparcia, niechże mu go ułatwi ktoś przez tę znaną rękę, która go na światło i ku lepszymu zdźwignęła.”



Tygodnik Ilustrowany r. 1897

A. Kędzierski

Tak więc znów wszystko wracało do „Orzeszkowej i jej „zaniej” reki...”

Ale co myślał i jak się czuł sam bohater, uczeń obecnie w stolicy? Możemy na to odpowiedzieć najautentyczniejszymi jego słowami z listów do Orzeszkowej.

Listy te to niezmiennie ciekawy dokument, pokazujący i twardą drogę awansu społecznego i charakterystyczne troski i rozczarowania, i silne się na głód i uczoność, krytycyzm wreszcie i bystrość z artyściwnością zarazem. Dokument to, spoza którego przemawia prawdziwe życie...

Ale oto pierwszy (właściwie pierwszy z zachowanych w „Archiwum Orzeszkowej”) list Dziadula, wart tego, by go przytoczyć w całości, oczywiście z zachowaniem właściwości stylizacyjnych, a nawet ortograficznych.

„Wielmożna Pani! Od czasu świat Narodzenia nie pisałem nie do Pani. Winą temu lenistwo w pisaniu listów, a po części i zajęcia w ogrodzie. W nauce dotąd nie bardzo daleko uszedłem i nie wiem, czy będę mógł wytrzymać okazem. Wymagania, prawda, nie głębokie, ale za to wszechstronne, obszerne; tak np. z niemieckiego „gramoty” (**), mamy przekładać (po przekładzie przez nauczyciela) paragrafy specjalnej ogrodnictwa książki i to nie umiemy ani słowa po niemiecku, ani pół prawidła gramatycznego. I taki blisko sens mają francuska i łacińska „gramoty”, które nam wykladała. Tylko język rosyjski i arytmetyka w trochę lepszym stoją położeniu. Ale tymczasem dla mnie i wymienione rzeczy inną rzeczą trudną. — W specjalnych klasach szkoły będą dawać mineral (ogół), zoologii, botaniki, a może nawet fizyki i chemii początki. Byłby to kurs trochę może racjonalniejszy od gimnazyjnego, gdybyśmy mogli posiadać do tego czasu matematykę, no choćby arytmetykę, geometrię i algebrę, tylko na niezapłatę uyrwki nie zdaje ich nauczyć się, choć przewodniczą mi w tym (w arytmetyce tylko póki) p. p. studenci, z którymi mieszkam.”

W Warszawie nie zdaje się ciekawego. Przynajmniej przyjrzałem się dość miastu. Brzydkim zawsze wyda się miasto po wsi, a Warszawa... złożona niezręcznie na równinie tym mniej ma powabu. W czasopiśmiech tutejszych odbywa się pewny ruch, przeglad Tygodni (iowy) swoją radykalną taktyką zdaje się ma drugich zwyciężyć. Nowoohrzczoney „Kurier Codzienny” traktuje poważnie sprawę o gospodach we wsiach zamiast karczem, o szerzeniu oświaty między ludem przez plebanów i panienki ze dworu itd. A wszystko komedie ludzkie grają i komedie, prawdę powiedziawszy, niezręczne. Zostaje” itd. (List z 13.III.1883 r.).

Koniec pierwszego roku szkolnego przyniósł Dziadulowi sukces w postaci nagrody, o której zresztą pisał Orzeszkowej, że „właściwie nie była bardzo zasłużoną”. (List z 26.XI.1883 — Archiwum Orzeszkowej).

Ale był to bodaj jedyny jego sukces życiowy. Zabrakło bowiem systematycznej i stałej opieki, spokojnego kształcenia. Przerzucił się więc biedny Dziadul do różnych dziedzin wiedzy, z niemałą dozą samokrytycyzmu określa się, że jest „dyktantem systematycznym”, bo zajmując się kolejno to rysunkami, to literaturą (kiedyś*), to wreszcie najświeższą może pasją swego życia, matematyką. Nieuniknione niepowodzenie, lub wzbudzały fale zniechęceń, w których wyznawał: „mam jakieś zarodki (może i w tym myśle się) logiki, a brak pamięci” lub z gorzkością: „Mania literaturna (sic) porzucała mnie, lecz razem i wiary w nie nie ma. Hugo w swoim „osle” i Szopen-hauer proroczący Nirwanę-(to) chyba tylko ludzie pojmujący cele życia...” lub nawet: „Tak zdaje się przyjdzie zginąć zrywając wierzchy.” (26.XI.1883).

Taki był bilans pierwszego roku w życiu bezradnego samouka. Pano-

wie studenci gdzieś znikli z jego życia, szkoda, że nie wiemy też, o czym pisała do Orzeszkowej.

I nieprędko spotkamy się (w listach, bo to jedyna droga naszej z Dziadulem znajomości) z naszym bohaterem.

Dopiero w styczniu 1889 r. „ambasuje” Dziadul swą protektorkę prosząc, by mu umieszcza w banku oszczędności — nie ma, całe sześćdziesiąt rubli! (sumę tę z widoczną satysfakcją wykalgrował fioleto-wym atramentem).

Są to oszczędności — bo Dziadul jest już wykwalifikowanym ogrodnikiem i znajduje się na posadzie na Podolu.

Z otoczenia nie jest zadowolony. Ludzi, wśród których żyje, charakteryzuje jako „cywilizowanych wódką albo czarnym surdudem”. „Wymagania — ironizuje — prawie jak od

stworzyciela.” No, ale jakoś wszystko się układa i pan ogrodnik nie cały czas zajmuje się hodowlą kwiatów i uprawą warzyw.

Oto, co jeszcze robi „wieczorami”, aby „zapomnieć dzień”:

„Oto zdaje mi się, (a zdaje mi się — bo już raz tuziłem się), że roz-wiązałem dawne, a zakłete zadanie z geometrii początkowej o podziale jakiegoś kąta na trzy równe części za pomocą wykreślenia. Otóż nie wiem, czy zadanie to już nie jest rozwiązane, to wiem tylko, że nie było rozwiązane do r. 1878 (Geometria pana profesora Dawydowa z tego roku). Gdy-

bym wreszcie pierwszy je rozwiązał, to nie znam adresu żadnego uczono-go, którego bym protekcy mógł prosić dla wyprowadzenia w świat tego rozwiązania, bo zdaje się, że jest ono tak samo zakłete jak kwadratura koła i nikt mnie wysłuchać nie zechce. Tymczasem mam pewność, ale pewność — to nie jest znane nazwisko, któremu bym uwerzono.” (List z 30.I.1889 r. Archiwum Orzeszkowej).

Gdyby to można wiedzieć, co Orzeszkowa na to odpisała?

Z ostatniego listu dowiadujemy się, że Dziadul znajduje się na nowej posadzie, a przynajmniej na nowym miejscu, ale nie myśli przebywać tu długo, ciągnie go już świat szeroki, chciałby udać się na Kaukaz. W liście tym (z 2.II.1890 r.) alter Wokulski pisze: „Nie mogąc pokonać trisekcyjną kąta zajmuję się wynalazkiem uniwersalnego motoru i... już, już jest, a razem z tego nie...”

Jaki był ostateczny bilans tego życia — nie wiadomo, lecz dopowiedzieć sobie nie trudno. Takich jak on „rozparzonych”, porzuconych, zgorzkniałych i nieszczęśliwych było wielu... „Plasterki” pozytywistyczne i do-różna filantropia, choćby najczyn-niejszych osób, jak samej nawet pani Orzeszkowej, sprawy rozwiązać nie mogły...

I tak w jednym z szczęśliwszych wypadków wyglądała druga część „Antka”...

Edmund Jankowski

*) „Listy. Dwugłosy” t. I. Warszawa-Grodno, 1937, str. 199 — 201.
**) Chełmiński Wincenty (1850 — 1887) — zapomniany literat, współnik Orzeszkowej w prowadzeniu księgarni wileńskiej w latach 1879 — 1882.
*) Por. Stefan Rosiak „Księgarnia E. Orzeszkowa i S-ka w Wilnie”, Wilno 1938, str. 28.

*) Cytowane tu listy E. Jankowskiego i L. Dziadula, nie drukowane dotychczas, pochodzą ze zbiorów „Korbutianum” przy Towarzystwie Naukowym Warszawskim.

**) Tak więc w liście z 13.VI.1883 r. pisał Leopold Mýet do Orzeszkowej, że rozmawiał z Dziadulem i przekazał mu od pisarki 50 rb.

*) W oryginale pisane „grazdanką”.

*) Określenia Dziadula jako poety białoruskiego przez M. Żmigrodzką we „Wsi” r. 1948 nr 10 wydaje się jednak niesłuszne.

Spotkania z nauczycielem

(Dokończenie ze str. 1)

i że jej będziecie bronić; bo ten cukier, żelazo i płótno, których wam brakuje, idą na wiesz, ale dopiero z komórek kulać. Nie będą kulać smacznie naraz dwu pieczeń: okradać spółdzielnie po cichu, a głośno ją kompromitować. A pamiętacie jak to było z elektryfikacją? Milczeli kulać, ale wyszły już po żniwach nie milczeli. Idą aż dwa przewody wysokiego napięcia pobok naszej wsi, w ubiegłym roku powstał komitet, a właśnie, na czele z panami kulaćkami, choć pod dobrymi sztydami działaczy. I co? Stompedowali. Wiedzieli, jaka ich wściekłość ogarnęła, kiedy od Sędziowskiej w naszą stronę wybudowano w tym roku 6 km. szosy i jaka radość, że jeszcze brakuje 4 km. Bo oni swoje panowanie i wysysk budowali na naszym bezdrożu, na głuszy zapadłego kąta. Drogi, właśnie drogi boją się jak diabeł święconej wody. Bo droga — to znaczy, że partia będzie tu częściej. A oni wiedzą, że wynik może być jeden: od skarg i zażaleń pójdziesz pod przewodem partii do walki na miejscu, aż się będzie kurzyło, pójdziesz do budowania Planu 6-letniego w waszej wsi. A jest przecież co rozbudowywać. I znów ta droga. Ona by odkryła nasze nieruszone dotąd skarby w ziemi. Mamy przecież w Wiercanach obfite źródło słarczane o wysokiej wartości. Można powstać nowe uzdrowisko. Mamy kamień wapienny. Robiliśmy próby wypalania w tym roku, duże i wysokogatunkowe pokłady. Ech, jak to puścić w ruch, jak uruchomić, to nie tylko dla nas starczyłoby pracy, ale i dla okolicy. Tego się boją kulaćcy. Zdusili elektryfikację, bo od żarówek w domach mogłoby dojść do załączenia elektryczności z przewodu wysokiego napięcia do wiertarek siarki i wapienia. Cóżby się stało wówczas z biedotą, z parobkami, z komornikami? Cóżby się stało ze wsią? Osada przemysłowa? Robotnicy? Spółdzielnia produkcyjna? Wyszły widzieli przed wojną pysk hr. Potockiego z Łańcuta, wielkiego burżuazji, wielkiego krwiopiccy, ale sami dziś widzieli, że małe piekło tak samo gryza i szczykają jak wielkie brytany kapitału. Zdemakowaliśmy naszego młynarza. Siedzi w kryminale. Poszli do niego z naszej Gminnej Rady, aby podpisał papier na dzierżawę dla samopomocy czy prywatną, byle młyn szedł i nas obsługiwał, a ten w więzieniu siedzi i co odpowiada — nie! Komu on tak mówi? Nam! Czy krew was nie zalewała? To tak z narodem postępować? Ale czego innego po nich nie się spodziewać! Na siarkę oni porwać się nie mogli, za gruba rzecz, na wapno — rabunkową metodą — mogli, ale szosy im brakowało, a w Polsce Ludowej ball się, że wy byście im powiedzieli krótko: prywatnie! Nie pozwolimy! Dłatego woda bezdroża, a za tym bezdrożem głupi naród, co w siebie nie wierzy, dlatego i w

swoją prostą, robotniczą i chłop-ską władzę też nie wierzy i tylko labiedzi i na zagone życia upycha i kulaćkom służy, i karku im nadstawia. Dzieci dopiero... was zbudziły. Baby się dzwija: la Boga, kędyż to ich tyle w świat zabierają, rodzic teraz a rodzic można spokojnie. A dzieci przecież dla was idą w świat po naukę. Och, dziadkowie nasi, emeryci, powiedzcie szczerze, czy wy nie obiecujecie sobie dużo po waszych wnuczkach? A mamy już podchowanych, takich, co dziś mogliby już wiercić w starce i wapnie, budować wapienną, uzdrowisko i prowadzić spółdzielnię produkcyjną. Oni to robią. Ale czy myślicie tylko czekać, aż wrócą?

Z tym, czego wyście się w nowej Polsce nauczyli, można już wiele u nas zrobić. I przecież wy już robicie, walcząc i budując.

Ja jestem nauczyciel, otwieram nowy rok szkolny dla dzieci. Główną rzeczą dla mnie — to — światło i droga. Światło nowe wpuszczamy w mądre główki chłopskie i na nowe drogi kierujemy podrosłą młodzież, na takie, jak tu powiedziano — na których buduje się socjalizm: nowe, lepsze życie dla narodu, nowy, lepszy naród!

Ale gdybyście wy na tym zebra-niu rodzicielskim otworzyli — po żniwach — nowy rok w gromadzie, też bym powiedział, główną teraz rzeczą to: światło i droga! Zorganizujcie po wsiach zebrań, wyłoniecie komitet i dobudujcie te 4 km. ruszcie elektryfikację, a już nas premier Minc znajdzie z naszą siarką i wapnem. A wtedy... wahać się nie będziecie.

Opisane spotkania nie są opowiadaniem. To najwierniejszy zapis. Mój nauczyciel jest z krwi i kości, nazywa się Franciszek Grabowski. Niechże ten zapis świadczy o głębokich przemianach w nowej inteligencji, w naszym nauczycielstwie. Potrafi ono treść swej pracy wychowawczej i oświatowej powiązać jak najściślej z „praktyką”, z życiem, z codzienną pracą i osiągnięciami mas pracujących — co sta-wiał jako zadanie naczelne Prezydenta Bierut na III Krajowym Zjeździe ZNP: „Proces przekształcania się dawnych narodów burżuazyjnych w narody socjalistyczne — to proces przerastania jednej epoki dziejowej w drugą. Jest to proces rewolucyjny i burzliwy, wymagający wielkich wysiłków, ale też wy-zwalający z głębi mas ludowych niewyczerpane siły” (*).

Koleжды, nauczyciele, przyjmijcie zaproszenie na nowe spotkanie na łamach „Wsi”. Powiedziecie o Waszym wzmocnionym wysiłku wychowawczym, który wyzwala z głębi mas ludowych niewyczerpane siły, siły narodu socjalistycznego.

*) Z przemówienia Prezydenta R.P.

Piotr Chmura

POEZJA LUDOWA GÓRNIKÓW CZESKICH

Przełożył Wincenty Jędrkiewicz

Przed kilkoma miesiącami czechosłowackie Min. Informatyki i Oświaty wydało zbiorek „Lidová poesie hornická”. W szeregu zgrupowanych w antologii wierszy i pieśni ukazują się nam nie tylko bogactwo artystycznych pomysłów ludowej, samorodnej twórczości górników czeskich, ale i bojowość i uświadomienie klasy robotniczej bratniego narodu, stojącej w pierwszym szeregu do walki o równość, sprawiedliwość i szczęście. Zbiorek informuje o postępowych tradycjach górnictwa czeskiego, przynosząc równocześnie wiele cennego materiału pracownikom nauki, badaczom folkloru i etnografom. Dotychczasowe badania na tym polu z reguły ograniczały się do twórczości ludowej na wsi, zapominając zupełnie o ludowej twórczości robotniczej, o samorodnej sztuce tworzonej w fabrykach, kopalniach i hutach. Nauka okresu kapitalistycznego bardzo chętnie pomijała zagadnienie artystycznej twórczości robotniczej, zawsze postępowej i o wyraźnym obliczu klasowym. W naszych czasach stoi przed nami poważne zadanie nadrobienia tego wszystkiego, co badania naukowców epok minionych celowo przemilczały. Trud, podjęty przez młodych historyków z Uniwersytetu Karola w Pradze którego owocem są materiały, opublikowane w zbiorze „Lidová poesie hornická” i opracowywane na seminarium prof. dr. V. Husy, powinien stać się bodźcem dla polskich naukowców i zachęcić ich do przeprowadzenia analogicznych badań i prac w Polsce.

S'ostri i bracia niech posłuchają!

Siostry i bracia niech posłuchają,
Co to się stało w pilzneńskim kraju,
W mieście Nyrzany, o tym wie każdy,
Ludzie nieszczęśliwi.

Na pierwszego maja ogłoszono święto,
Od zeszłego roku dzień ten świętować poczęto,
Dwudziestego kwietnia przyszła doba smutna
Na lud nieszczęsny.

Na ostatnim zebraniu wszyscy uradzili,
Aby kopalnie strajk ogłosili,
Aby kminy też nie dymili,
Tym sobie zaszkodziłi.

Wojska tam zwolali piesze i na koniach,
Gdy je zobaczyli, wnet strzelali do nich.
W krwi się walali i strasznie biadali
Ludzie nieszczęśliwi.

I dnia trzeciego siedem pogrzebów,
Plakali ludzie w wielkiej żałobie,
Ale nikt nie śmiał z ich towarzyszy
Stanąć przy grobie.

Na środku rynku potem zwolali
Kobiety, mężczyzn, by w szyku stali.
Mówili: kto się poruszy,
Z miejsca go się zastrzeli.

Gdy szło ich tam kilku, strzelali na rynku.
Ani się pytali, co od nich zdają.

Gdy stali tam bracia i patrzeć musieli,
Serca w nich zadrżały, a nie rzec nie śmieli.
Ach, w tej smutnej dobie, żółko, powstań z grobu,
Przybądź nam ku pomocy!

1) Wiersz „S'ostri i bracia niech posłuchają” powstał na terenie miasta Nyrzany koło Pilzna w roku 1890 i poświęcony jest krwawym wypadkom, jakie tam wówczas miały miejsce.

Górnikowa córa¹⁾

Górnikowa córa
Smutnie zapłakała,
Przy przysto górników
Gdy trzask widziała.

Górnicy, górnicy,
Jak wy się też macie
Za parę krajarców,
Które zarabiacie?

Bardzo źle się mamy
I biedę cierpimy.
Władza wmawia w nas, że
Danin nie płacimy.

Wzniosą w górę pięści,
Noże, kolki, haki,
Czekajcie, panowie,
Będziecie zebrali!

2) „Górnikowa córa” jest wariacją pieśni ludowej z okolic Rosicka. Tekst jej pochodzi z ostatnich lat ubiegłego stulecia.

STELCOWSKI

Żona łamistrajka²⁾

Łamistrajk się do pracy stroi,
Robotczy strój obleka,
Smutnie nad nim żona stoi
I zdrady męża się lęka.

Proszę ciebie, mężu drogi,
Nie chodź dzisiaj do pracy,
Nie bądź towarzyszy wrogiem,
Wiesz, jaki jest los zdrajcy.

Zważ, ilu naszych braci
Stoi wiernie w tym boju.
Nie powiększaj tej niechęci,
Która przeciw nam stoi.

Łamistrajk do progu idzie,
Widać, że jest rozczłuszczony:
Potopisz ty nas w tej biedzie,
Głupia gęś, dumna żono!

Jaśniepan mi rady dawał,
Bym nie słuchał takiej żony,
Abym nie się nie obawiał,
On mi straż dla obchony.

Biedny zdrajco, idźże sobie!
Z ogniem w głosie rzecze ona.
Coś zmieniło się w tej dobie,
Już nie będę twoją żoną!

Wzembrę z sobą dziatki małe,
Ty nie śmiej się z nami znać.
Będą ciebie przeklinały,
Żeś im musiał żywot dać.

Przec mi z oczu, gnuśny wrogu!
Gdy zdradasz swych towarzyszy!
Idźże z rodziną progu,
Niech o tobie nikt nie słyszy!

*) „Żona łamistrajka” opublikowana została w kładnieńskim piśmie „Svoboda” z dnia 1 lutego 1900 roku. Autor tego wiersza, górnik z kopalni w Kladnie Stelcowski, wyraża w swoim utworze ugnęnie dla kobiet kładnieńskich, które swoją stanowczą i nieugiętą postawą przyczyniły się wielce do imponującego przebiegu ówczesnych strajków górniczych.

Wincenty Jędrkiewicz

Czesław Schabowski

Korespondencje analfabety

(Opowiadanie)

Wytknij brygadziście Kiściowi, że jest niepiśmienny! Powiedz takiemu, że to wstyd, aby się podpisać nie umiał!

Będzie ci on wtedy wyciskał Hiszpanie, Francję, Anglię, Holandię, jeszcze inne kraje — pół świata ci otworzy! Posłyszysz, ile to złotych medali, zdobytych przez dzielnych przodków, jest w rodzinie jego wychowanków.

Zas od tysięcy, dziesiątków tysięcy litrów mleka, oddanych przez mamy, babki i prababki jego krów aż biało ci się robi przed oczyma!

Kiedy zaś brygadziści Kiśca zaczęli wyciskać imiona całych pokoleń i to co najmniej dwudziestu byczków — co masz wówczas sądzić o tym analfabecie?

Był on za sanacji farnalem, harował od świtu do ciemnej nocy tylko po to, aby jego książkę miał za co łądzać się w krajach, skąd pochodzą przodkowie byczków na obecnym PGR-ze. Nie nauczone go nawet pisać i czytać i teraz ten spadek po jasnie oświeconym księciu czyni z Kiścia jakby mańkutą, jakby garbatego. Ale widzieliście garbatych albo mańkutów? Oni tak manewrują lewą ręką albo garbem, jakby człowiek musiał mieć garb, jakby mo-

wałdzil którego ze starszych kolegów może to być ktoś z trzeciego albo nawet z drugiego oddziału. Trafili tak, Miciuga. Dał mu Kiśc stódkiego rogala, wziął do świetlicy i postawił przed gazetką, ustawiając się z tyłu razem z synem.

Potem Kiśc złożył ręce do tyłu i chodząc po izbie, czekając na popis Miciugi. Kiedy tamten jeszcze mlekał, Kiśc stanął przed nim, i przełożył czapkę na bakier, czuł się bowiem w głębi ducha bardzo nieważny wobec tych smyków. Co widząc mały Miciuga, syn dozorca majątku — zrobił to samo, jakby chcąc odsonić oczy dla lepszego patrzenia na gazetkę. Wtedy Kiśc skreślił okrutnie grubaczego papierosa, zapalił i zaczął puszczać chmury dymu pod nosy malców — aby nie czuli się zbyt ważni!

A mały Miciuga obraca w rękach rogala, przestępuje z nogi na nogę, nie czyta jeszcze, tylko proponuje: — Wicie co, Kiśc? Ja se najpierw po cichu złożę te litery, a potem przeczytam wam na głos, dobrze?

Mały Miciuga już porusza wargami: początkowo lekko, w skupieniu, nabożnie, z powagą. Potem skrzywia nargi jakos szyderczo i wicie wybuchu niepomaganym dziecięcym

— Ja i bez czytania na nich się poznałem...

A z tym łobuzem trzeba zrobić porządek i oddać go pod sąd! Ja jestem niepiśmienny, ale jakbym siedział w jego duszy — on se tak myśli: Jak te „kurzoki” w Sielencinie się przyjma, to im posłę węcę... Niech te chamskie dzieci potem zamiast mleka dają wodę...

— Powinności napisać o tym do naszej gazetki... Wicie przecież, w ilu to wypadkach sąd zaczyna w taki sposób... Mogę wam wyliczyć dziesiątki przykładów, gdzie najpierw korespondenci za pomocą gazety pokazali sabotażystę, a potem dopiero milicja go za kark. Sekretarz partyjny z zespołu przyjeżdża często... Kiedy on zobaczy taki artykuł — sprawa pójdzie mocno. Nawet się nie obejrzy, jak trzeba będzie jechać do sądu na świadka.

— Nie napiszę o tym, ale spróbuję ułożyć sobie w głowie i podyktuję to buchalterowi!

— A zonie waszej nie możecie podyktować? Dajcie spok buchalterowi, ma dość roboty! Siadźcie sobie kiedyś wieczór z waszą żoną przy stole i jej podyktujecie...

Kiśc poskrobał się za uchem.

— Kiedy ona... wicie... też nie tego...

— A co rok prorok, to potraficie, co?

— Czy to na tych „prorokach” nam nie zależy? Może im bieda grozi? Co?

— Ale żeby być dobrym ojcem tyłu dzieci, to trzeba umieć pisać i czytać! Krowy wasze chowają się na karmie majątku, działkę też wam PGR obrabia i co wy z czasem w zimie robicie?

— Jeśli wam zazdrość, to wam powiem — leżę sobie do góry brzuchem i założę rękę na pępek kręcąc palcami, bo mi się tak podoba!

— I nie sprykrzy wam się to, człowieku?

— Jak mi się sprykrzy, to młynkuje w drugą stronę!

— Żebyście pękli na takim chlebie.

— Zazdrość wam, żeście, kierownik i tego nie macie?

— Kiśc, nie ważny się, bo nie ma o co... Wicie dobrze, że nie chcemy źle dla was...

— Ale mnie to już złości... Żeby to tylko wy! Kto nowy przyjdzie do nas, to mało nie pęknie z zazdrości, że mi się tak dobrze powodzi. Gadają, że pewnie kradnę! Niech tak obsadzają działkę jak ja! Niech tylko posiedzą na zadku cierpliwie tyle lat, co ja, to się dochowają nie takiej gadziny!

Inni latają z majątku na majątek i tracą czas na latanie, zamiast na chów gadziny, to im łatwo zazdrościć, psiekrwie!

— Wicie co, Kiśc, może i o tym należałoby napisać do gazetki. Niech młodzi wiedzą, jaką nędzę mieliście dawniej, a jak się wam teraz żyje! Nie tylko do naszej, ale do takiej warszawskiej gazety powinniście napisać, bo ludzie myślą, że robota w PGR-ze to Bóg wie co. Gdybyście się nauczyli pisać i ułożyli taki artykuł, nasz prezydent dowiedziałby się, że gdzie w Sielencinie jest taki nie w ciebie bity Kiśc. Brygadziści Kiśc! Napisałibyście tak — Kiśc za panów to był pastuch, cham, gamoń, farnal i potyradio. A teraz — brygadziści! I to taki, co nawet współredaguje gazetkę. Wnet zostanieie przodownikiem i jaki z was będzie przodownik, jeśli nie nauczycie się pisać.



(Rys. S. Gierowski)

Dlaczego wy sami dla siebie jesteście wrogiem z tym analfabetyzmem?

— Uparliście się wy na mnie, to ja na was i koniec!

— No, to ułożcie ten artykuł o „kurzokach” i sabotażystach z Kowar i podyktujcie go mnie... Trzeba, wałnąć drania od razu w ciemię!

Napisany pod dyktando Kiścia artykuł o sabotażu i „kurzokach” wypadł dowcipnie, i tak przekonywająco demaskował, że kto zjechał nie tylko z zespołu do Sielencina i przeczytał go — pękł ze śmiechu, zacierał ręce i rad szukał Kiścia, aby go pochwalić. Artykuł wytykał kierownikowi z Kowar nie tylko „kurzoki”. Przypomniał, że ten kulacki synek przysłał do Sielencina swego czasu siano, pod które w natadowany potężny wóz zaprzężone były wysokiebredne klacze. Kiśc oceniając i ten wypadek jako sabotaż, zapytywał „Co z klaczami?”

Dostało się kierownikowi Kowar, bo dostało!

Najpierw „kurzoki” znalazły swój przyzwoły w oddziale CZPM, a potem kulacki kombinator przydzielił swój — w kryminale.

Autorytet Kiścia podniósł się. Podsunęto mu więc projekt, aby ułożyć artykuł o życiu dawnym i teraźniejszym i obiecano wraz z fotografią umieścić go w jakiejś gazecie. Osmielony zabrał się do roboty. Kiedy jednak buchalter spisał podyktowany artykuł, a przejrzał go sam Walczak, sekretarz, Podstawowej Organizacji Kiśc dostał się pod nowy obsztrzał.

— Wygląda to tak, wicie, Kiśc — zaczął Walczak — jakbyście sami napisali ten artykuł. O tym, że Was pany gniebiły — jest. Ale o tym, żeście się nie nauczyli pisać i czytać, choć my chcemy wam w tym pomóc — ani dudu... O tym, że widzieliście, jak ludzie jeszcze w 1938 roku świecili łuczywem, jest także o naszej nowej umowie zbiorowej, dzięki której za niewielkim zwrotem kosztów możecie trzymać na karmie PGR aż dwie krowy... Ale o tym, że mamy w domach i świetlicy światło elektryczne, że warunki życia pozwalają nam na zaspokajanie wyższych potrzeb, na radio, gazety, książki, o tym u was ani mru-mru. I o tym na koniec, że coś wam po świetle elektrycznym, po książkach, skorociście zawzięty analfabeta. Gdzie tu samokrytyka, co?

— Jakże to pisać do gazety, co ja sam prezydent może przeczytać, żem brygadziści i żem niepiśmienny... Prezydent by się zmartwił... A tyle musi się trapić! Jeszcze ten „kłopot”. Niech już myśli o Planie Śześcioletnim i o tym, żeby nie było wojny i żeby dzieci miały zawsze przed szkołą! Dajcie pokój, sekretarzu! Przecież musowo to zakryć, niech się nie martwi, że jakiś Kiśc nie umie pisać...

— Przystanie się martwić, jak nie będzie nikogo u nas takiego, jak wy! Jak będzie pewny, żebyście mogli pomóc nam, jeśli was się postawi na jakimś ważniejszym stanowisku. Na kim się oprze, jak nie na was, na brygadziście Kiściu?

— Ale co?

Przyjechał do Sielencina jakiś redaktor gazety; posiedział parę dni w majątku, pogadał ze wszystkimi ludźmi, brał udział w naradach produkcyjnych i odprawach, opowiadał po robocie dużo ciekawych rzeczy w świetlicy, narobił fotografii i wyjechał.

Po dwu tygodniach, kiedy już wszyscy prawie zapomnieli o nim, brygadziści połowy, Oleś, przyniósł jakąś gazetę, akurat taką, jaka do świetlicy wcale nie przychodziła. W tej gazecie była fotografia Kiścia i coś o nim napisane.

— Ale co?

— Już Kiściowi nie zależało na tym, co piszą o nim, ale byczki! Czy aby ten redaktor wspominał o budowie wychowalni? O chowie — planach Sielencina — nowego gatunku zarodowców? O nowej umowie zbiorowej? Bychki, jego najcenniejsze buhajki, są na fotografii w gazecie jak malowane! Wyplegnowane, wykarmione rękami Kiścia!

— Ale gazetka jak na złość została usunięta przed niedzielą, a wraz z nią to, co napisał o buhajkach re-

daktor z Warszawy, razem z fotografią Kiścia.

— Uparliście się wy na mnie, to ja na was i koniec!

Jednego z najbliższych dni brygadziści ogromnie się zdziwili, kiedy u kółczyków każdego ze swych byczków ujrzał tabliczkę drewnianą ze znakami wyglądającymi na litery. Co to jest? — pyta Kiśc swego chłopca.

— Całe abecadło na wszystkich buhajkach!

Polecał do kancelarii.

— Kiedy przestaniesz się mną bawić, co? — krzyknął taki rozeźlony, że buchalter umknął za stół.

— Macie tu ostatnie zarządzenie. Już teraz nie ma „Apisa”, ani „Bitnika”, ani „Anzelma”, tylko byk „A”, byk „B”, buhajek „C” i tak aż do „Zet”!

— Pewnie, pewnie! Takiemu biedakowi jak ja możecie pokazać nawet mułmańską biblię, a musi uwierzyć, że to rozporządzenie!

Pokażcie ten wasz okólnik, niech go dam komu do przeczytania, bo chcę wiedzieć, czy jakichś kawałów ze mną nie robicie.

— A o tajemnicy służbowej nie wam nie wiadomo?

Kiśc zmieszal się.

— To pozwólcie mi chociaż na tym papierku swój znak post. ić... Jak się nauczyć czytać, to go muszę zobaczyć i jeśli to jakiś cyrograf arabski a nie okólnik — to... trzymajcie mnie!

Wrocił do wychowalni i pokazując kręcącemu się tu Stasiowi „Bitnika” zapytał:

— Co jest u niego na tabliczce?

— To jest litera „K”.

Następny byczek to „Podjadek”.

— A u niego co?

— „Ili”! — piszczy radośnie mały synek brygadziści.

W trzecim boksie kręci się i złości wspaniały dziarski byczek „Apis” — nazwany tak przez kogoś z zespołu ku niezadowoleniu Kiścia, który przezwiał go „Sirotką”.

— U tego zaś co?

— „Śśśś” — tłumaczy dalej uradowany malec — A czwartą, tato, to „Cécé” i razem do kupy te cztery byki nazywają się KIŚC!

Zabawa ta rozbroiła Kiścia. Tak mu się to spodobało, że co dnia zaczął ustawiać byczki w jakichś słowach. Brał udział w tej zabawie i Staś, chytry malec. Proponował on stale takie ustawianie buhajków, że w boksach można było przeczytać i o PKWN i o Planie Śześcioletnim, o Trasie W — Z, o wszystkim, co posłyszal w szkole.

Raz buchalter wziął Stasia do kancelarii i tam z nim powycinał z kartonu całe stado byczków, które też ponaznaczał literami, a gdy wieczór nadszedł, chłopiec jeszcze raz przerabiał z ojcem to samo, co podczas dnia przerabiał przy boksach.

W domu wciągał i matkę do tej zabawy.

Plotki poszły po całym majątku, że synek Kiściów, kończący pierwszą klasę, stał się nauczycielem rodziców i że Kiściowie podobno już nieźle sylabizują; brygadziści, jednak nadal udawali analfabety i na wszelkie nagabywania byli ślepy i głuchy. Ale przyjechał Walczak i wezwał Kiścia.

— Czemu to nie dyktujecie nowych artykułów do gazet? Co?

— A bez to, żeby nie okłamywać Prezydenta, że niby wyglądamu ho, ho, na jego podpórę, a jestem w rzeczy samej niepiśmienny.

— A na samokrytykę wciąż was jeszcze nie stać?

— Do samokrytyki potrzebna jest krytyka.

— To mało was w „Oborze” nabojeżdżano?

— W każdym numerze, ale ja z tego nic nie wiem.

— A chcecie wiedzieć? To ja wam przeczytam.

— Ili... — Kiśc uśmiechnął się chytrze — wy mi ino wydobyście te gazetki od Sikory, a ja se już sam dokumentnie wycytam.

Walczak popatrzył uważnie w oczy Kiściowi, potem się uśmiechnął i rzekł:

— Ach, tak... Więc napiszecie samokrytyczkę?

— Znaczą się, podyktujcie.

— A o tym, że trzeba się wam nauczyć również pisać — też podyktujcie, co?

— Rozumie się, tego to ja się nauczę jeszcze prędzej, bo już wiem, o czym będę pisał. Mądra rzecz ta gazetka, żeby nie ona — jeszcze bym czytać nie umiał, nawet analfabecie się przydała.

Czesław Schabowski



(Rys. S. Gierowski)

żliwość zdjęcia garbu pogarszała jego sytuację. On ci każdym czynem chce dowiedzieć, że z garbem więcej zrobi, niż ty bez garbu. Taki był Kiśc.

— Wicie, co to było jak nastąpił? — Szopa. Rupiściarnia. Taki... kram, od Sasa do lasa!

— „I ja to przerobiłem. Nie sam, razem z innymi, ale podług mojej myśli... Dyrekcja zespołu dała plan, to prawda, trzymałem się tego papierka, choć kierownik tylko raz mi go wyjaśniał... dostałem ludzi do pomocy, wynieśliśmy wszystkie graty, poszerzyliśmy okna, gnijącą podłogę zamieniliśmy na posadzkę z cegieł. Potem przegrody, też sam pobudowałem, no i łóżki to moja robota... W dwa miesiące była gotowa ta wychowalnia... Za to dostałem premie... Ano, widcie... A wy, człowiek piśmienny, wybudowaliście chociaż kurnik?

— „I ja to przerobiłem. Nie sam, razem z innymi, ale podług mojej myśli... Dyrekcja zespołu dała plan, to prawda, trzymałem się tego papierka, choć kierownik tylko raz mi go wyjaśniał... dostałem ludzi do pomocy, wynieśliśmy wszystkie graty, poszerzyliśmy okna, gnijącą podłogę zamieniliśmy na posadzkę z cegieł. Potem przegrody, też sam pobudowałem, no i łóżki to moja robota... W dwa miesiące była gotowa ta wychowalnia... Za to dostałem premie... Ano, widcie... A wy, człowiek piśmienny, wybudowaliście chociaż kurnik?

Odwet na Kiściu zaczął się od pierwszego nr „Obory”, czasopisma poświęconego sprawom PGR, Sielencina. Jednym z redaktorów gazetki ściennej został zawzięty wróg analfabetów, były farnal majątku, — Sikora. Po rocznym kursie dla administratorów PGR, został on niedawno kierownikiem Sielencina. Człowiek ten zna się jednako na uprawie ziemi i hodowli, jako też i na polityce.

Już w pierwszym numerze gazetki ściennej Kiśc został napiętnowany za lenistwo w likwidacji analfabetyzmu. Gazetka bowiem pośród wielu zadań stawiała sobie za cel również walkę na odcinku oświaty. Ale Kiśc mniemał, że jeżeli jest znawcą byczków, pracowitym kandydatem na przodownika, zapisanym w historii majątku, jako jeden z budowniczych planu — to winno się na PGR-ze tolerować jego słabości. Zbył więc pogardliwym milczeniem artykuł o sobie. Nawet do świetlicy nie zajął i udawał, że o niczym nie wie.

Po pierwszym numerze „Obory” ten i ów tylko palcem pokazał na Kiścia. Po drugim zaczęto podśmiewać się z niego otwarcie. Po trzecim artykule Kiśc zaczął się czuć jak gracz, któremu całą noc sła karta i naraz nad ranem zwycięstwo się od niego odwróciło. Kiedy czwartą numer „Obory” zawiś na ścianie, Kiśc nie wytrzymał. Akurat było to na jednym z zebrań.

Przodownik pracy i szczęśliwy rywal Kiścia, traktorzysta Kowalczyk pokazując gazetkę powiedział:

— Widzicie, Kiśc? Tu napisano o was... A tu o mnie!

Brygadziści wychowalni przede wszystkim zaciekali się, czy też i Kowalczyk za coś gania.

Poprosił więc konkurenta we współzawodnictwie:

— Przeczytajcie mi... to o was i to o mnie.

— Eee przyprowadźcie sobie któregoś z waszych sławnych byczków... One z takiej ślepej rodziny! Oni to pewnie czytać umieją... Co wy, tyślicie, że nie można by takiego byka nauczyć czytać?

Smyka-Kiścia z pierwszej klasy namówił Kiśc-ojciec, aby przypro-

śmiechem. Rzucił Kiściowi pod nogi jego rogala i smyk przez okno na dwór!

— Stój! Stójże, pieroniel! Nic ci nie zrobię!

Kiśc posmutniał. Tak posmutniał, że aż małemu Stasiowi zrobiło się żal ojca. Wziął go za rękę i ciągnął do wyjścia, rzekł:

— Nie trapić się, tato! Jak ja się nauczę dobrze składać litery to wam przeczytam... Ja się nie boję. — Won ode mnie, bąku! Jak ty się nauczysz, to też tak będziesz się nasmiewał, jak ta cała banda!

Już wszystkich analfabetów majątku nauczono pisać i czytać, tylko Kiściowi udało się dotąd przemyknąć przez gęste oka sieci, która miała zlikwidować pozostałość po jasnie oświeconych. — Nacisk bowiem na Kiścia obudził w tym upartym człowieku jakąś straszną przekorę.

— Niech gromy biją, a ja się tego nie, nauczę i koniec. Moim buhajkom nie trzeba mądrych swarów! Ja im do łobu nie dam abecadła, tylko śrut z owsa i kukurydzy! Ho! ho! Długo by, bidoki pożyły na abecadle!

Pewnego dnia przysłano z Kowar do wychowalni trzy nowe sztuki. Po ich obejrzeniu Kiśc pokreślił głową, bo zdążył mu się trochę podejrzane pod względem czystości rasy. Ale, że były do nich dołączone papiery — rodowody czy nie rodowody, ale były — i na tych papierach kierownik majątku, Sikora, podpisał się, trzeba więc było byczki przyjąć do wychowalni. Nasz brygadziści zajął się też nimi jak ojciec własnymi dziećmi.

Po kilku dniach Kiśc jednak stwierdził, że nie są to buhajki zarodowe, ale zwyczajne sobie cielaki, zdätne jedynie na rzeź lub na woły.

Polecał więc do kierownika, do tego niewdzięcznego redaktora „Obory”, który w biurkach kancelarii chował wszystkie stare gazetki, że Kiśc nijak nie mógł się o sobie dowiedzieć.

— Coś mi się zdaje, że ten kierownik z Kowar nabrął nas porząd... To on, znawca, przysłał do wzorowej wychowalni takie sztuki? Choć czytać nie umiem, ale na tym, jak w ig z nami walczą, to ja się znam! No i na byczkach... On sobie myśli, że jak ja niepiśmienny, to nie wiem, co to jest nasze dobro i komu zależy na tym, aby to dobro niszczyć? Nie dopuszczę, nie daruję, że mu się raz udało z klaczą, to myśli, że uda mu się z buhajkami?

Sikora obejrzał nowe byczki, pokłiwał z ubolewaniem głową.

— Rzeczywiście, że nie łacięte, ale jakieś w grozki...

— Ano, widzicie, coście podpisali?

— A wyście na papierach nie narysowali swoich trzech krzyżyków?

— Wyrysowałem, boście kazali, zresztą... papierki czytałyście wy, nie?

— Moglibyście się, Kiściu, nauczyć wreszcie pisać i czytać, by wiedzieć z papierków, co wam tu przysyłają, a nie z tego, co wam ktoś z łaski przeczyta.

ANDRZEJ BRAUN

Piosenka agitatora wiejskiego*)

„Oj biją mnie, biją, zabić mnie nie mogą,
a bo mnie dziewczyna zastawiła nogą.
Zastawiła nogą, zastawiła ręką,
oj biją mnie, biją pod tą Bożą męką.”

Odejdź, dziewczę, nie chroń mnie od chłopca —
oni ślepi pełni nienawiści.
Wśród nas przepełnił mroku czas wykopał —
ja chcę myśl ich z pajęczyn oczyścić.

Granatowi bili nas pałkarze,
a i wcześniej, za pańszczyzny. Za to
ja za miedzą nienawiści waszej
widzę sny prześcigający traktor.

Wasze ręce, czarne niby ziemia,
ksiądz oszczerstwem pozaciśkał w pięści.
Oczekujcie łatwo rozgrzeszenia,
gdy ostatni paperek zachrzęści.

Wy mówicie: „Zdechniesz tutaj draniu...”
to kulacka mówi przez was wódka.
Mnie bijecie? Chłopa jak wy sami —
jedna była nasza dola smutna.

Myśmy kłosa wybierali z rżyska,
psy bezdomne, żywiące się z reszek,
myśmy grzbiem sprzedali im na zyski —
dla nich morgi, i modły, i respekt...

My, zgarbieni w historii upręży,
nie wygrzani w dziedzicznych pierznych,
potrafimy ten wyszek zwyciężyć
na spółdzielczych, biedniackich maszynach.

Odejdź, Maryś, nie chroń mnie od chłopca —
oni w ślepej pełni nienawiści.
Ich świadomość biedniacka na opak —
ja chcę wzrok ich z pajęczyn oczyścić.

Komunista, to człowiek uparty,
choćem zgłął się, chociażem przykleknął,
wstań siłą klasy swej i partii,
choć mnie biją dziś pod Bożą męką.

Cóż, że usta ciemna krew zalewa,
nie płacz, dziewczę, jutro piosenka nie ta —
nie przestanę budzić w nich człowieka
i o dniu jutrzejszym będę śpiewał...

*) Wiersz z tomu „Reportaż serdeczny”, który ukazał się w najbliższym czasie nakładem „Książki i Wiedzy”.



Rys. Regina Wiśniewska, ucz. kl. VI z Jaskółtowie gm. Nasielsk

ZDZISŁAW WRÓBEL

WYCHOWANIE BUDOWNICZYCH KOMUNIZMU

1.

Żadna z wydanych po wojnie powieści o tematyce wiejskiej nie daje nam tak wszechstronnego i głębokiego oświetlenia problematyki wsi radzieckiej, jak nagrodzona w r. 1949 premią stalinowską pierwszego stopnia powieść Siemiona Babajewskiego „Kawaler Złotej Gwiazdy” (1) i stanowiąca jej dalszy ciąg powieść „Światło nad ziemią” (2). Babajewski doskonale uchwycił dążenie ludzi radzieckich do tworzenia coraz lepszego i szczęśliwszego życia, charakterystyczny dla powojennej pięciolaki rozmach budownictwa, który ogarnął najdalej zakątki Związku Radzieckiego.



Siemion Babajewski

Inicjatywa budowy elektrowni wodnej w stolicy Ust' Niewińskiej, — to nie jakiś wyjątkowy wypadek, ale zjawisko typowe dla wsi socjalistycznej. Tu powstaje elektrownia, tam wyrasta miasto kolchozowe, a gdzie indziej już elektryczne traktory i dojarki wyręczają człowieka. Babajewski potrafił w niezrównanym mistrzostwem rozwinąć przed nami kolejne etapy tego procesu. Projekt wychodzi z dół, rodzi się na zebraniu aktywny stacyjny, na którym każdy doradca swoje uwagi i uzupełnienia. Jest to już szczegółowy plan, który nie tylko obejmuje budowę elektrowni, ale i podwyższenie urodzaju, zwiększenie pogłowia bydła, podniesienie poziomu kulturalnego wsi. Cała stacja przystępuje do walki o realizację planu, a wnet do akcji przyłącza się cały powiat. Zbiorowy wysiłek szybko doprowadza dzieło do końca.

Ten pierwszy etap, który stanowi główny wątek powieści „Kawaler Złotej Gwiazdy”, kończy się przeprowadzeniem elektryczności do mieszkań dla ich oświetlenia. Powieść „Światło nad ziemią” pokazuje dalszą drogę: próby mechanizacji pracy ręcznej, szkolenie techniczne ludzi i początek realizacji planu przekształcenia przyrody. W miarę postępów budownictwa i rozszerzania się jego zasięgu, rosną i rozwijają się bohaterowie powieści, zmienia się ich oblicze moralne, ich stosunek do pracy, dojrzewa ich świadomość polityczna. Życie osobiste ludzi związane ściśle z pracą, ich przeżycia wewnętrzne z konfliktami, które z niej wynikają. Ta droga pisarza mógł najpełniej i najwyraźniej ujawnić wewnętrzne wartości swoich bohaterów, których prawdziwość i typowość tak sugestywnie przemawia do czytelnika.

2.

W osobie Sergiusza Tutarinowa, kawalera Złotej Gwiazdy, Babajewski stworzył jedną z najbardziej udanych postaci powojennej literatury radzieckiej — typowego przedstawiciela młodego pokolenia. Sergiusz zaraz po powrocie z wojny przystępuje do realizacji nowych, bojowych zadań. Na froncie jego czołg pierwszy wyrwał się na niemieckie okopy, a więc w pokojowym budownictwie Sergiusz także musi przodować. Przyjaciel Sergiusza Sawa Ostouchow, przewodniczący wiejskiej rady, marzył o założeniu elektryczności, marzył o tym i inni mieszkańcy Ust' Niewińskiej, ale jakiś niesławny umiał przystąpić do pracy. Sergiusz z miejsca bierze się do czynu.

Umiejętności kierownicze Sergiusza przejawiają się w całej pełni przy organizowaniu spławu drewna. Potrafił on planowo rozstać ludzi i słusznie podzielić pracę, która dzięki socjalistycznemu współzawodnictwu szybko zostaje zakończona. Poważnie, po bolszewicku podchodzi nasz bohater do propozycji objęcia przez niego stanowiska przewodniczącego rady rejonowej. Mierzy wpięć swoje siły, zastanawia się, czy podola tej trudnej pracy, nie patrzy na nią od strony zaszczytów, lecz od strony obowiązków, które chciałby wykonać jak najlepiej.

Gdy zdecydował się podjąć zadanie, zabiera się do niego z całą swoją młodzieńczą energią, wkłada wń całą duszę. Główną cechą jego stylu pracy jest stały kontakt z masami: „...jak tam na froncie, tak i tu w swoim rejonie, Sergiusz widzi siebie jako małego i nieogłębionego czystego wielkiego kolektynu, i interesy ludzi tam i tu, całe ich trudne, natężone życie ze swoimi radościami i smutkami były i jego interesami i jego życiem”.

Sergiusz zagląda do każdej stacji i chutoru swego powiatu, do każdego niemal kolchozu. Poznał ludzi, pomaga im, przysłuchuje się ich krytyce, wciąga do odpowiedzialniejszej pracy zdolne jednostki i demaskuje szkodników. Nie ma dla

niego godzin urzędowania, ani różnicy między dniem i nocą, istnieje tylko praca. Siłą napędową, która go pcha nieustannie naprzód do nowych czynów bohaterkich, jest miłość do socjalistycznej ojczyzny.

Rejon Sergiusza mógł wnet poszczycić się dużymi sukcesami. We wszystkich stacjach i chutorach, na placach, ulicach i zaułkach, w kolchozach i na stepie zapłonęło elektryczne światło. Życie ludzi od razu stało się jakieś jaśniejsze, z jeszcze większą nadzieją i optymizmem spojrzeli w piękną przyszłość, która otwierała się przed nimi. Taki nastrój spotykamy na początku „Światła nad ziemią”. Widzimy jednak, że Sergiuszem opanowało uczucie samozadowolenia i uspokojenia, że patrzy na świat i ludzi przez różowe okulary optymizmu i wszyscy wydają mu się dobrzy, pozabawieni wad.

Nasz młody bohater przestaje więc odnosić się krytycznie do ludzi i do siebie, dostaje niebezpiecznego „zawrotu głowy od sukcesów”, zatrzymuje się w miejscu, poprzestaje na osiągniętych, zamiast rozwijać się dalej i walczyć o wykonanie nowych zadań. Sergiusz nie dostrzega, iż z zaprowadzenia elektryczności jest na razie tylko tyle pożytku, że baby smażą kurczaki na elektrycznych maszynkach i przewodniczący jednego z kolchozów urządził w swoim biurze sygnalizację; nie widzi, że turbina obraca się w dzień bezczynnie, podczas gdy można by wykorzystać energię elektryczną do mechanizacji robót polnych, a zwłaszcza do młócenia zboża. Co gorsza, przestaje on zwracać uwagę na głosy krytyki. Nie słucha mądrych rad Ragulina, zbywa narzekania Siemiona, nie rozumie napomknięć Kondratiewa, a nawet cierpkie słowa ojca nie otwierają mu oczu.

Błędy Sergiusza Tutarinowa i starcie z nim innych ludzi rejonu — to konflikt typowy dla obecnego etapu rozwoju społeczeństwa radzieckiego. Olbrzymie sukcesy we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego, a także w zakresie nauki i kultury, mogą wywoływać u niektórych działaczy politycznych, u kierowników na najrozsądniejszych szczeblach, stan samozadowolenia, uspokojenia i bezczynności. Na zjawisko to wskazywali kierownicy Partii bolszewickiej, w szczególności tow. Małenkow w swoim przemówieniu z ubiegłego roku. Kierownik, który nie dostrzeże swoich błędów dość wcześnie i zatrzyma się w miejscu, nie dogoni już życia, które pędzi naprzód, popadnie w konflikt ze społeczeństwem. Na tym polegała np. tragedia Chochołakowa, do której zresztą jeszcze wrócimy.

Ale Sergiusz, dzięki pomocy sekretarza rejonowego komitetu Partii Kondratiewa, zdolał przezwyciężyć swoje błędy. Kondratiew w przyjacielskiej rozmowie wskazał mu, że wszedł na niewłaściwą drogę, ostrzegł go przed niebezpieczeństwem, jakie mu grozi, gdy nie oceni samokrytycznie swojej pracy. Rozmowa z Kondratiewem wywołała u Sergiusza głęboki wstrząs wewnętrzny. Gdy przemysłał ją do kładnie i zrozumiał, jakie popełnił błędy, zupełnie innymi oczyma spojrzął na swoją pracę w ostatnim okresie i w innych barwach widział teraz życie rejonu. Przejeżdżając przez stację i chutory, spotykając się i rozmawiając z ludźmi, zaczął dostrzegać dziwną przemianę: wszystko, co jeszcze wcześniej zabawione było na różowo, teraz stało się przed nim w zupełnie nowym świetle. Wszędzie panował błogi spokój. Słupy, zwieszone do budowy linii elektrycznej w polu, leżały sobie spokojnie na placu, glina i piasek do budowy budek transformatorowych porastały chwastem, motory elektryczne, druty, izolatory leżały w magazynach. Sergiusz pojął teraz, jak niebezpieczny był ten stan „zawieszenia broni” i z miejsca przystąpił do nadrobienia straconego czasu. Z tą samą energią, z którą pracował przy budowie elektrowni, zabrał się do realizacji nowych planów i tak jak przedtem porwał za sobą cały rejon.

3.

W powieści „Światło nad ziemią”, osoba Sergiusza Tutarinowa schodzi raczej na drugi plan. Najwięcej uwagi autor poświęca wspomnianemu już wyżej Kondratiewowi, sekretarzowi rejonowego komitetu Partii. Uosabia on starą gwardię bolszewików, zahartowanych w walce rewolucyjnej, doświadczonych w pracy politycznej — wychowawczej. Kondratiew — to człowiek o niezawrzeszonych zasadach, o żelaznej bolszewickiej woli, to rozważny i energiczny kierownik, ale przede wszystkim czujny i wnikliwy wychowawca. Te ostatnie jego cechy rozwija Babajewski szczególnie starannie w pierwszej części „Światła nad ziemią”.

Kondratiew zdaje sobie sprawę z tej wielkiej dziejowej misji, jaka stoi przed komunistami: „...Na nas, komunistów, sama historia nałożyła wielką misję — wybudować ludzi od tych moralnych i duchowych ułomności, które zrodził kapitalizm”.

Dłatego z troską i wnikliwą uwagą obserwuje on ludzi w pracy i po cichu pomaga im, gdy popełniają błędy i schodzą ze słusznej drogi. Przykładem takiej pomocy jest praca Kondratiewa nad Sergiuszem, o której była mowa wyżej i jeszcze może bardziej pouczająca

opieka nad początkującą pracowniczą partijną Tatianą Niewietową.

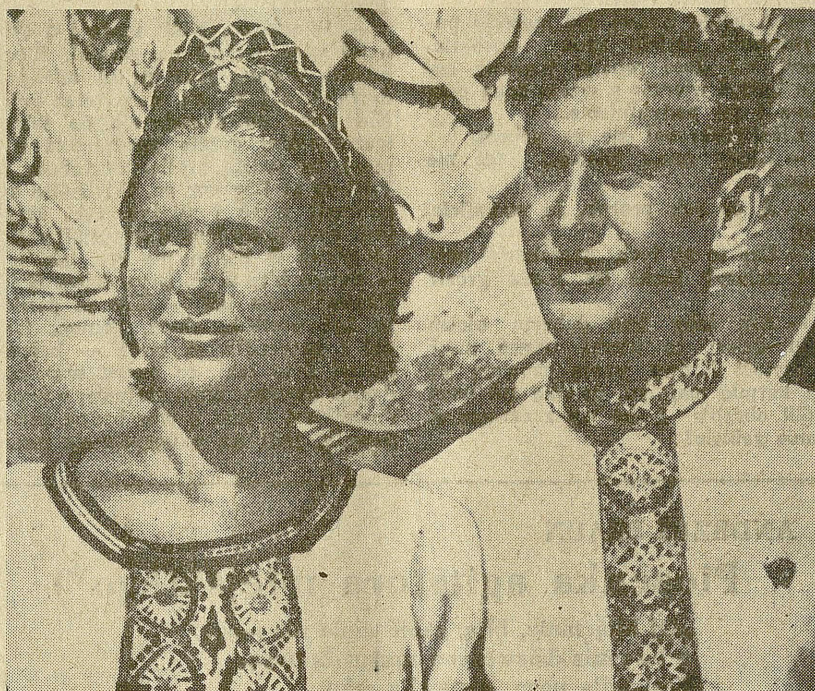
4.

Zagadnieniu kierownictwa kolchozom poświęca Babajewski także wiele uwagi. Od początku książki „Kawaler Złotej Gwiazdy” stawia on przed czytelnikiem pytanie: jak powinien postępować przewodniczący kolchozu? Sam nie od razu daje na nie odpowiedź, gromadzi początkowo fakty i przykłady, a nam pozostawia ich ocenę. I może się zdziwić, że czytelnik w pierwszej chwili nie potrafi osądzić, kto gospodaruje słusznie: szczodry Artamaszow czy skąpy Ragulin. Ci dwaj przewodniczący sąsiadujących ze sobą kolchozów stanowią przeciwieństwo pod każdym względem.

Artamaszow ma szeroką duszę i szeroki gest. Lubi ubrać się pięknie i jeździć po okolicy strojąc taczan-

że by było i inne produkty. Długo by może jeszcze „gospodarzył” w ten sposób, ku zadowoleniu byłego przewodniczącego rady rejonowej Chochołakowa, gdyby nie interwencja Sergiusza. Za te wszystkie przewrótty Artamaszow zostaje usunięty z zajmowanego stanowiska i wydany z partii. Tu znowu widzimy, jak Kondratiew czuwa nad naprawą dziwnych wykołajonych ludzi z powrotem na właściwą drogę. Artamaszow dostaje lankę i na tej nowej funkcji powoli (choć nie do końca) wyzbywa się dawnych wad i za wyjątki nad podniesieniem urodzaju, otrzymuje nawet odznaczenie.

Staruska Ragulina, przewodniczącego kolchozu im. Budiennego, złościł się sąsiedzi nazywali skąpcom. Skąpstwem w ich oczach była walka z marnotrawstwem, z nieporządkami, za skąpstwem uważano jego oszczędność i gospodarską zapobiegliwość. Jeżeli Ragulin przesadza



ka, lubi przemawiać górnolotnie i obiecywać wiele. Wedle jego słów nigdzie nie dzieje się lepiej jak w kolchozie im. Woroszyłowa, którym on kieruje, i nie ma lepszych ludzi od woroszyłowców. W rzeczywistości zbory nie przekraczają u niego 8 cetrarów z hektara, ziemia jest zaniedbana i nieuprawiana. W dodatku Artamaszow roztwarzania tak-

nawet w gorliwości, to w każdym razie w kolchozie widać wyniki jego pracy. Zbory przekraczają już 30 cetrarów z hektara, czyli wynoszą blisko 4 razy tyle co w kolchozie Artamaszowa. Ale nasz staruska nie poprzestaje na tym i stawia sobie jeszcze wyższe zadania. Jego zaradność gospodarska przejawia się także po zaprowadzeniu

JÓZEF CZERNI

PROBLEMY KRYTYKI

(Literacka prasa radziecka)

Zagadnienia krytyki literackiej są stale aktualnym, jednym z centralnych tematów czasopism radzieckich. „Szkoła rzemieślnicza”, „Palące zadania krytyki literackiej”, „Nowe książki krytyków” — oto pierwsze z brzegu tytuły artykułów, jakie spotyka się stale na łamach pism. W artykułach tych powstaje nowa myśl krytyczna, precyzuje się konsekwentnie jej metoda; pogłębiają się jej wpływy na pisarzy. Coraz usilniej usiłujemy bowiem rozwijać literaturę towarzyszącą coraz większy wzrost zapotrzebowania na liczne kadry nowych, dobrych i rzetelnych krytyków. Stąd codzienna bezkompromisowa walka o poziom i jasność ideową krytyki, o jej stały rozwój.

„W okresie powojennym — czytamy w jednym z ostatnich numerów „Literaturnoj Gazety” — literatura nasza wzbogaciła się o nowe utwory, dobitnie i uszczelnienie odzwierciedlające przejawy życia radzieckiego, pomagające walczyć i zwyciężać na drodze do komunizmu. Dalszy wzrost i doskonalenie literatury jak i sztuki w ogóle jest niemożliwe bez pomocy wysoce ideowej krytyki, opartej o naukę marksizmu-leninizmu, krytyki zasadniczej, nie nadskakującej a wymagającej. Potrzebna nam krytyka, która rozpatruje literaturę od strony życia, staje się poważnym narzędziem propagandy i komunistycznego wychowania, krytyka, która stale i czynnie oświeca proces literacki i wpływa na jego ukształtowanie. Książka prawdziwego krytyka — znawcy literatury, to samodzielny utwór literacki mający znaczenie naukowe i artystyczne: naukowe dlatego, że posługuje się naukową metodą analizy marksistowsko-leninowskiej — artystyczne zaś dlatego, że w ostatecznym wyniku uczestniczy ona w artystycznym poznaniu świata, tworząc obraz dzieła i jego twórcy w najściślejszym kontakcie z rzeczywistością. Posiadamy znakomite tradycje produkcyjne krytyki, tradycje rewolucyjnych demokratów: Biełłińskiego, Czernyszewskiego, Dobrolubowa. Posiadamy też ostry i skarbienie, przy pomocy którego można i trzeba budować naukowe uogólnienia procesu literackiego, a mianowicie — naukę Marksa — Engelsa — Lenina — Stalina. Artykuły W. I. Lenina o rosyjskich klasykach: Herceńce, Czernyszewskim, Tolstojem, listy W. I. Lenina i J. W. Stalina do pisarzy, prace J. W. Stalina o językowstwie, czy tak podstawowe dokumenty jak decyzje partii w sprawach literatury i sztuki — oto najbogatsze źródło, jakie nie tylko pomaga naszej kry-

tyce w zobrazowaniu stanu naszej literatury, ale również oświeca „reflektorem drogę naprzód”, do literatury komunizmu. Owocno doświadczanie wymagające, życiowej a głębokiej krytyki czerpiemy z krytycznej spuścizny założyciela radzieckiej literatury, A. M. Gorkiego”.

Dalej autor artykułu, wskazując na pewne niedostatki obecnej krytyki radzieckiej — często powierzchowność, płytkość i formalizm analizy, nieprzezwyciężenie do końca burżuazyjnego obiektywizmu, podkreśla równocześnie, że w ciągu ostatnich dwóch lat wyszło wiele dzieł krytycznych, odpowiadających najwyższemu wymogom nauki naszych czasów. Referent wylicza olbrzymią i bardzo poważną pozycję krytyczno-literackich, między innymi np. prace — N. Masłina i Usiuczewa, Naumowa („Senzynarium o Majakowskim”), W. Pierowa (o młodzieńczej twórczości Majakowskiego), L. Skorinowa (o Bażowie), B. Brajniej (o K. Fiedinie), W. Kurilenkowa, (o A. Serafinowicz), I. Leżniewa, (o Szolochowie), I. Wexlera (o A. Tolstoj), Mozołkowa (o Janku Kupale, Nagroda Stalinowa 1949) i inne.

„Opracowywanie — czytamy dalej — problemów teorii literatury winno nierozłącznie towarzyszyć rozwiązywaniu konkretnych zadań samej krytyki. I odwrotnie — w dociekania krytycznych powinno się rozwiązywać problemy teoretyczne, tak, jak to było w niepospolitych pracach Biełłińskiego, Czernyszewskiego i Gorkiego”.

„Jednym z najważniejszych zadań — kończy autor pod adresem radzieckiej prasy literackiej — jest organizacja systematycznej, fundamentalnej, życiowej a surowej krytyki krytyków. O pracach bowiem samych krytyków wspomina się bardzo rzadko, przeważnie tylko wtedy, kiedy krytyk popełni poważny błąd. Ale o osiągnięciach tego samego czy innego pisarza, pracującego w dziedzinie krytyki, mówi się jeszcze rzadziej. Głęboka i trafna krytyka — to jeden z podstawowych warunków rozwoju literatury. Jest ona zarazem wychowawcą szerokiego mas ludowych, nieodzownym nauczycielem życia, pomocą w poznaniu sztuki i trybunem wzywającym do walki o triumf idei Lenina — Stalina”.

„Radziecki krytyk i literaturoznawca — pisze inny publicysta — to nie beznamytny sędzia, srogo patrzący z boku na pracę pisarza. To przecież taki sam jak i pisarz budowniczy przepięknego gmachu literatury nadchodzącego komunizmu”.

Józef Czerni

elektryczności. On pierwszy wykozystał energię elektryczną do pracy przy młóceniu zboża. Ragulin również chętnie poucza wszystkich, którzy się zwracają do niego po radę. Nawet Artamaszowowi, który kpił z niego, udziela wskazówek i pomaga w podniesieniu urodzaju. Upór, z jakim zabiera się do zgłębienia tajemnic elektryczności — to jeszcze jeden rys dodatni charakteru tego dzielnego człowieka.

5.

Na przykładzie Nikity Malcewa, następcy Artamaszowa, widzimy znowu, jak szybko w Związku Radzieckim rosną i rozwijają się ludzie, jak Partia mądrze ich wychowuje i prowadzi do coraz trudniejszych i odpowiedzialniejszych zadań. Nikita ma zaledwie 20 lat. Nie dawno jeszcze dorodził jak gdyby nie zauważał go. Jako komсомола używano go do dekoracji klubu, do rozklejania afiszów i zwolowania na zebranie. Teraz już zabiera głos w dyskusjach, prenumeruje „Prawdę”, otrzymuje poważniejsze zadania do wykonania. Sumienną pracą przy spławie drewna Nikita zwraca na siebie uwagę kierownictwa, które powierza mu brygadę. W końcu spotyka go nowy awans — zostaje przewodniczącym kolchozu. Także na tym stanowisku młody aktywista stara się nie zawieść zaufania, którym go obdarzono. Uważnie obserwuje pracę Ragulina, często korzysta z jego rad, słucha starszych i mądrzejszych towarzyszy. W pracy kształci się i wychowuje ofiarny działacz społeczny, bojownik oddany interesom narodu.

Pokazując na wielu przykładach, takich jak Sawa Ostouchow, Siemion Gonczarenko, Głaska Niesmasznaja, jak rośnie młode pokolenie, Babajewski nie zapominał także o innym, typowym dla kraju socjalizmu zjawisku, o odrodzeniu starszej generacji, o drugiej twórczej młodości ludzi, których prawdziwa młodość upłynęła w wawunkach carskiego ucisku. Iłuz to uczonych, artystów, pisarzy dopiero po Rewolucji nabrało pełni sił twórczych?

Prochor Nienaszew, prosty i nieuczony człowiek, przeżywa podobne przeobrażenie. W ciągu niespełna roku Prochor przemienił się do niepoznania. Prace związane z budową elektrowni wodnej obudziły w nim wprost niepojętą energię. Najpierw wraz z Sergiuszem kieruje spławem drewna, później bierze udział w budowie elektrowni, a wreszcie zdobywa elementarne wiadomości techniczne i staje się pierwszym pomocnikiem inżyniera Graczowa. Uczy się przede wszystkim praktycznie, ale równocześnie z niechęcią użyciem uporem pracuje nad przyswojeniem teorii, mimo że przychodzi mu to nie łatwo.

6.

Przyjrzyjmy się teraz postaciom negatywnym obu powieści. Ich znaczenie wychowawcze jest nie mniejsze od postaci omówionych wyżej. Zarozumiałość, fałszywa duma, biurokracizm i obojętność na krytykę Chworostiankina, błędy Chochołakowa, którego samo życie wypowiedziało, są przestrogą dla tych wszystkich działaczy partyjnych i kierowników, którzy oderwali się od mas, którzy przestali nad sobą pracować i nie rozumiejąc dialektyki rozwoju, zatrzymali się w miejscu. Widzieliśmy początki tego niebezpiecznego stanu u Sergiusza Tutarinowa. Sergiusz jednak potrafił od razu przezwyciężyć swoje błędy. Gorzej jest z Chworostiankinem. U niego „choroba” jest już tak zaawansowana, że wymaga długiego i bardzo umiejętnego leczenia. W miarę rozwoju akcji widzimy już pierwsze wyniki „kuracji”, którą przeprowadza Tatiana. Natomiast beznadziejnie przedstawia się sprawa Chochołakowa. Jego zły styl pracy kształtował się w ciągu wielu lat i nikt nie zwracał mu uwagi, że pracuje niewłaściwie. Przeciwnie, pochlebstwa ludzi, którzy błędili tak jak on, utwierdzały go w przekonaniu, że postępuje słusznie. Po ustąpieniu ze stanowiska przewodniczącego rady rejonowej, Chochołkow zamiast cieszyć się z wyników pracy swego młodego następcy Sergiusza, patrzył na niego przez ciemne szkła urażonej ambicji. Tu tkwiło źródło konfliktu z otoczeniem.

Analizując typy ujemne napotykały na pierwsze słabe strony obu książek Babajewskiego. Krytycy radzieccy zarzucają autorowi, że postrzeka Chworostiankina wypadła karykaturalnie i mało przekonująco. Także Chochołkow, choć pogłębiony psychologicznie, może zdziwić czytelnika, zwłaszcza w powieści „Światło nad ziemią”. Słuszny wydaje się zarzut, że kilka rozdziałów, poświęconych „spiskowi” Chochołkowi i Naryżnego przeciwko planom Sergiusza, nie już nie dorzuca nowego do tej odpychającej sylwetki.

7.

Zajmowaliśmy się dotychczas wartościami ideowymi powieści Babajewskiego, nie można jednak pominąć ich wysokich walorów artystycznych. W przeciwieństwie do wielu dotychczasowych książek o wsi radzieckiej, w których próbowano z mniejszym lub większym powodzeniem stosować dialektyzm, Babajewski używa języka literackiego w mowie potocznej prawie wszystkich postaci, niezależnie od wieku, wykształcenia i wykonywanej pracy. Oczywiście są pewne różnice między mową Timofieja Iljicza

i jego syna, między słownikiem Nizowny i Ireny, swoiste kupieckie wyrażenie ma Rubcow-Jemnicki, a kwieciste wyrażenia Chworostiankina, jednak nikt z nich zbyt mocno nie odbiega od języka literackiego. Babajewski wychodzi ze słusznego założenia, że na obecnym etapie rozwoju wsi radzieckiej, gdy mechanizuje się pracę ręczną, gdy zacieśniają się właściwie różnice między wsią i miastem, nie może być dużych różnic między słownictwem kolchoźnika, robotnika czy działacza społecznego.

W barwnych, dynamicznych opisach przyrody Babajewski jest spadkobiercą najlepszych tradycji rosyjskich realistów XIX wieku, zwłaszcza Turgeniewa. Tak opisywał przyrodę może tylko człowiek, który ją mocno ukochał, który sam przeżył wielokrotnie to, o czym pisze. Babajewski rozpoczyna zwykle poszczególne rozdziały od opisu szaty roślinnej pól, stepu, sadów w różnych porach roku i dnia. Najlepiej udają mu się takie pejzaże, w których jest dużo barw, jak na przykład noc księżycowa, nadchodząca burza, świt nad Kubanią, step jesienią, falująca w słońcu pszenica. Przy czym pejzaż Babajewskiego jest zawsze dynamiczny, nierozdzielnie związany z akcją powieści. To nie martwe tło fabuły, ale jej składowa część. Np. opis wylewu Kubani, którym rozpoczyna się powieść „Światło nad ziemią”, wywołuje poczucie radosnej mocy, nagłego wyzwolenia sił. Tej niepochwytanej energii rzeki odpowiada nastrój, w którym znajdował się Sergiusz po pierwszych sukcesach budownictwa, gdy świat wydawał mu się piękny, a ludzie tacy dobrzy, gdy czuł w sobie nagromadzenie siły i szczęścia. I jego energia jak energia Kubani marnowała się w tym czasie bezużytecznie.

W podobny sposób można by powiązać inne opisy przyrody z przeżyciami bohaterów lub z sytuacjami powieściowymi. Szkoła tylera, że oba polskie przekłady „Kawalera Złotej Gwiazdy” w znacznej mierze zubożają artystyczne środki wyrazu Babajewskiego. Szczególnie dotyczy to opisów przyrody. Tam, gdzie tłumacz napotyka na trudności, po prostu opuszcza dane słowo, zdanie, czy nawet dłuższy fragment. Inną osobliwością stylu Babajewskiego są częste, bezpośrednie zwroty do czytelnika, pełne poczucia humoru.

Trzeba u Babajewskiego jeszcze podkreślić wielką umiejętność psychologicznego analizowania działających osób, szczególnie w chwilach ich wewnętrznej walki. Do takich najbardziej udanych fragmentów trzeba zaliczyć przeżycia Artamaszowa po zebraniu, na którym został usunięty z partii. Przypomina on sobie poszczególne zdania, skierowane przeciwko niemu, swoje zachowanie i zachowanie innych i w ten sposób odzwierciedla się przed nami cały przebieg zebrania, że znacznie większym napięciem dramatycznym niż to miało miejsce w bezpośrednim opisie. Taki sam chwyt stosuje autor kilkakrotnie z równie udanym rezultatem.

8.

Powieści Babajewskiego owiane są bliskością nadchodzącej epoki komunizmu. Wyczuwa się ją na każdej niemal stronie, autor wraz ze swymi bohaterami wyraźnie dostrzega jej perspektywę:

„Wiktore, powiedz — zwraca się Sergiusz Tutarinow do swego przyjaciela — czy wierzysz w to, że komunizm już uida, że się go odczuwa? Że oto jest tuż, tuż!... Spójrzaj na nasz górny bieg Kubani! Tu urodziły się obaj i wyrosli i trzeba być ślepym, by nie widzieć, jakie zaoferowały życie. Jeszcze całkiem niedawno tutaj w Ust' Niewińskiej nie tylko nasi dziadkowie, lecz nawet ojcowie żyli w ciemności i wstecznicie: w tej samej Ust' Niewińskiej zainteresowania ludzi przez wielki ciek nie wychodziły za obręb ich podwórka, ich obojętą: tutaj, gdzie stały chaty naszych ojców, żyło odwieczne zwierzęce prawo — panuj, ruinuj, niszczone słabo i wzbogacaj się... A co widzisz obecnie? Ust' Niewińska dotrzymuje kroku najbardziej produkującym miastom — kto mógł nawet marzyć o tym? A jej mieszkańcy stali się silniejsi i piękniejsi... Czułowiec stał się mądrzejszy i szlachetniejszy”.

A w innym miejscu czytamy: „Teraz wszystkie drogi prowadzą do komunizmu i nasze najważniejsze zadanie polega na tym, ażeby po tych drogach szli ludzie o szlachetnej duszy, o czystym sumieniu, o mocnej woli i odwadze, umiejący przekształcać marzenia w rzeczywistość”.

Jeżeli wyciągniemy stąd wnioski, że zadanie takie stoi również przed pisarzem, to z kolei musimy stwierdzić, że obie powieści Babajewskiego „Kawaler Złotej Gwiazdy” i „Światło nad ziemią” spełniają jej w całej rozciągłości — wychowują budowniczych komunizmu.

ZDZISŁAW WRÓBEL

1) Siemion Babajewski, „Kawaler Złotej Gwiazdy”, t. 1, przeł. z jęz. ros. Tadeusz Łopalewski, t. 2 przeł. Stanisław Furmanik, „Książka i Wiedza”, Warszawa, 1950. Biblioteka Chłopskiej Drogi Nr. 10 i 11.

2) Siemion Babajewski, „Światło nad ziemią”, cz. 1, Literatura Radziecka, Nr 8, 1950, cz. 2 jak 1.

FRANCISZEK FENIKOWSKI

C Z U J N O Ś Ć

Zebrań egzekutywy miało się odbyć zaraz po pracy. Prosto z pochylu poszedł więc Nowak do domu z czerwonej cegły, który wyglądał na Stoczní trochę nieoczekiwanie, ot, jakby przywędrował tu z dalekiego przedmieścia i zagubił wśród rozległych warsztatów i wysokich bloków drogę powrotu. W tym niepozornym, parterowym budynku mieszczą się szatowne koło PPR. Tu właśnie odbywały się posiedzenia egzekutywy.

Wyznaczona godzina zbliżała się. Ze wszystkich stron Stoczní schodzili się członkowie. Ignacy czekał niecierpliwie, czy nie nadejdzie wreszcie i Łabędzki z odlewni. Ale zamiast niego zobaczył bociągnię poślacz Paczkowskiego, który przyszedł na samym końcu.

— Co wam, towarzyszu? Wyglądasz jak taki, co chce udusić ojca i matkę! — zażartował narzędziowiec, dogoniwszy z łatwością na swych szkodliwych nogach utykającego koleżkę.

Brygadziści niterów bardziej niż kiedykolwiek przypominają posępnego puchacza. W ostatnich czasach wychudli bardzo, nos zaostrzył mu się jak dziób.

— Nie zawsze jest człowiekowi do śmiechu! — bąknął.

— To źle! — przeciągnął Paczkowski. — Śmiech to zdrowie! Pośmiesz się, pozartujesz — zaraz robota lepiej idzie i ludzie nie rzucają się o byle co... Ja to dobrze widzę u nas w narzędziowni na drzewnym! Jak się kto zgłosi po jakie narzędzie i zaraz go nie dostanie, bo na magazynie nie ma, to zaczyna robić piekło, jakbym ja był winien! A wszystko dlatego, że nie umiem powiedzieć nic do śmiechu! Mówił Trepczyk, wiecie, jak to załatwiał ten, co był przed mną narzędziowym. Przychodził na ten przykład do niego ktoś po świder 6 m/m... „Macie?” — pyta. „Mam!” „No to dawajcie!” „Chciełbyście! To tak zaraz nie idzie!” „Czemu?” „Bo schowany.” „Gdzie?” „W d...” Chłop rzywał ze śmiechu i szedł precz. Nikt tam nigdy z tego słowa nie powiedział! Choć gdyby poszukać, to może nie tylko ten 6 m/m świder znalazłby się w narzędziowni...

— A kto tam był przed wami narzędziowym? — zainteresował się niter.

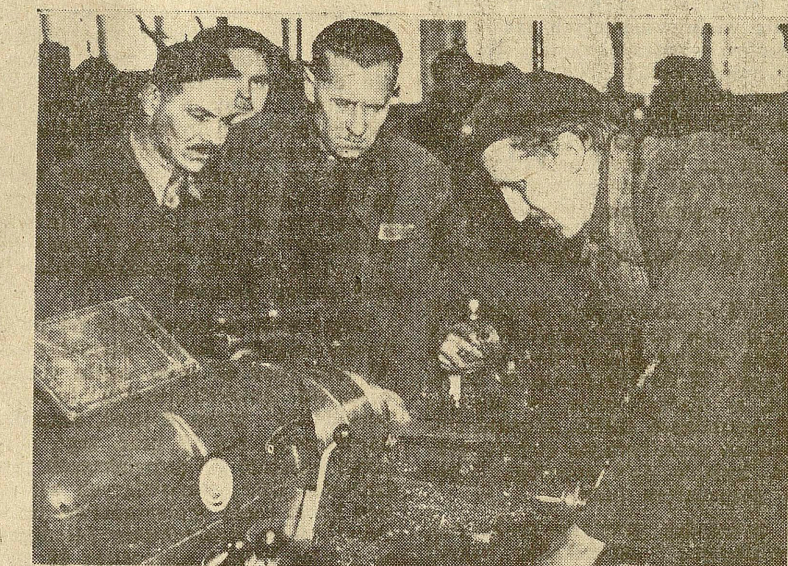
— Maj! — Nowakowi nie trzeba już było więcej wyjaśniać. Upewnił się tylko jeszcze: — A świdry, mówicie, były?

— Znalazłem je, jak objąłem po nim narzędziownię. Aż mi dziwno było, bo Maj przecież taki skrupulatny...

— Ale Ignacy nie zdziwił się tą wiadomością. Umocniła ona tylko jego decyzję: poruszyć dziś na egzekutywie sprawę Maj.

Wczoraj u Szwedowskich po raz pierwszy może zrozumiał, że jego nieufność w stosunku do ludzi, z którymi pracował, jego nieumiejętność porozumiewania się z nimi wspólnym językiem była czymś więcej niż osob-

bistym niepowodzeniem. Ona przecież sprawiła, że na Stoczní mógł działać jeden, drugi czy trzeci Maj, a Franek Cholewicki, Bruno Szwedowski, Albin Paczkowski — nie wiedzieli o tym... Nowak czuł się za to odpowiedzialny! Po co zajmował młodszym miejsce w Radzie Zakładowej? Dlaczego ufano mu w Partii, jeśli nie potrafił nikomu z towarzyszy przekazać swojej ciężko zdobytej wiedzy o życiu? Jaki sens miały frazesy o czujności, o socjalistycznym współzyciu, jeśli nie umiał sprawić, aby słuchający go na wykładach ideologicznych wynieśli te przestrogi poza duszną salkę, w której mówił... Były to słowa bez pokrycia! Zrozumiał, że przestał się dziwić, dlaczego tak nudził ludzi. Myśleli w końcu, że on, Nowak, miał przestrożę — piękną przestrożę — i że skończył się wraz z nią! Ze na starość ostygł, zgorzkniał i stracił serce do ludzi... Ze przeżył już swoje idee, a dziś miał je już tylko „na wynos”... Początkowo przychodziło jeszcze do niego z tym czy innym drobniakiem: z kłopotem z powodu choroby dziecka, ze wstydem czy można prosić o zaliczkę, czy dadzą...



Ślusarnia w stoczní

z radością — bo urodził się drugi chłopak... Radził, pomagał — ale tak jak to z nim, jakby bez serca... Powoli ułamał się przekonanie, potem przyzwyczajenie: iść z tym do Nowaka? A dajże ty spokój! Nie zabieraj mu czasu! Dostę chłop ma na głowie: wykłady, zebrań, co mu będzie zawracać głowę! Zostaj więc Nowak sam. I tak doszło do tego, że „Kusipurt” na każdym kroku zwracał go...

— Najwyższy czas zrobić coś — pomyślał.

Zebrań zaczynało się już, weszli więc do domu. W pokoju o białych ścianach, przy stole pokrytym czerwienią, siedziało kilku ludzi. Rozmawiali głośno, jak zwykle przed zebraniem i częstowali się papierosami.

— Wwzięć mówię mu! taki, co ssam młotką do ręki nie wweźmie. — wkładał w uszy Cholewicki, zacinając się, Trępczyk — a tylko pomstuje na ludzi i pędzi ich do roboty, to wywłódrz nie majster! To nie sztuka ssamemu coś umieć! Sztuka nauczyć innych!

— Mój Bolek — zwierzał się sąsiadowi dźwigowy Walkusz — daj się od małego na morze. Chciałem, żeby robił na Stoczní, ale nie będę go przecie ciągnął siłą! Ma osiemnaście lat! Zmuszował się i od 3 dni pływa...

Nowak przywitał się i usiadł. Wychwycił mimo woli fragmenty tych pogawerek, myślał, jak tu sformułować oskarżenie Maj? Psiakrew, ławieć to postanowić niż wykonać! Przede wszystkim nie wszyscy przyszli na zebranie. Najgorsze, że nie było Łabędzkiego. To zmartwiło brygadzię. Maj nadzieję, że hutnik poprze go. On przecież powiedział mu, że Maj maczał palce w wypadku w odlewni... We dwóch byłoby łatwiej, tym bardziej, że gwałny, wesoły na strój zebrań nie sprzął temu, co miał powiedzieć Nowak... Jak tu

niał, że magazynier nieraz przychodził do nich z butelką w kieszeni — czasem popijał podobno ze starym Grzybiem, a tego dnia kreślił się koło przygotowanych form. Mógł z łatwością wlać do którejś z nich wodę...

— Zebym się z tego miejsca nie ruszył! Zebym mnie jasny szlag trafił! Sam odpowierzałem formie! — zakłamał się podczas dochodzenia Grzybień, tłukąc kanciastymi pięściami w pierś.

— A więc musiał to być sabotaż! — mruknął wtedy inżynier. Nowak przyznawał mu rację. Bez przyczyny nie byłoby wybuchu! Ktoś umyślnie wlał wodę do formy. Kiedy zaczął wypełniać ją płynnym metalem — pękła. Poparzyłoby wtedy Świrszcza, a mogło być gorzej! Ładny kawał! „Stary kawał kowal!” — jak mówił Paweł. A przecież Maj był z zawodu — kowalem...

Po odczytaniu protokołu z poprzedniego zebrań, Nowak parę razy odchrząknął, przeknął siłą i zamierzał poprosić o głos, ale nikt jakos nie zauważył tych nieśmiałych prób zwrócenia na siebie uwagi. Na porządku dziennym, była inna, pochłaniająca wszystkich sprawa: pierwszy koncert Stoczní! Nie żaden tam amatorski zespół świetlicowy, ale Filharmonia Bałtycka! Organizatorzy, ci, którzy wystąpili z inicjatywą, skupiali się w Radzie Zakładowej i egzekutywie. Należało ludziom pomóc: udekorować kadiubownie, bo tam miało się to wszystko odbyć, zaprosić solistów, porozumieć się z Filharmonią, zawiadomić załogę, wyznaczyć najodpowiedniejszy dzień i godzinę.

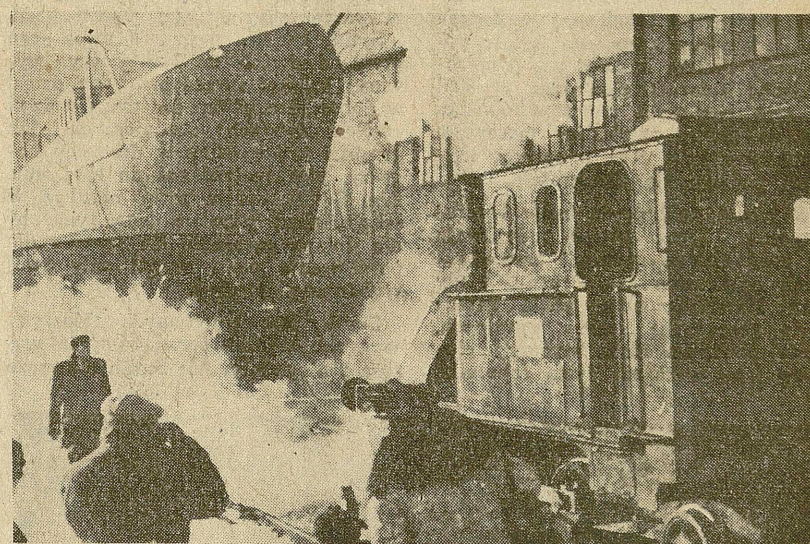
Pokój, w którym obradowano, zasnuły pyzate obłoczki tytoniowego dymu. Za oknami przesunęła się od czasu do czasu sapiąca lokomotywa, ciągnąc to dźwig, to wagonetki. Przenikliwy, żalony dzwonek ostrzegał przechodzących i rozpraszał uwagę ludzi, zebranych w czerwonym domu. Omówiono już właściwie wszystko. Niektórzy zaczęli wyraźnie zbierać się do wyjścia, aby przyspieszyć koniec, a Nowak ciągle nie mógł zdobyć się na wykrzyślenie prostego zdania: „Proszę o głos!”

— Proszę o głos! — zawołał ktoś Cholewicki, barczysty, rumiany, zarosięty, z głową, jakby wystającą bezpośrednio z ramion, wstał i od razu śmiejąc się w oczach patrzyjących. Gdy siedział, wyglądał jak postawny atleta; teraz przypominał karłowatego boksera.

— Więc uważałbym, że możemy już przejść do ostatniego punktu. Bo widzę, że niektórzy towarzysze to się już bardzo śpieszą! — odezwał się ucieszony jego wstąpieniem i ciągnął:

— Proponuję, żeby teraz rozpatrzyć podanie kol. Maj, który na ostatnim posiedzeniu organizacji zakładowej prosił o przyjęcie go do Partii Wprowadzając są: ja i Paczkowski. Więc możemy to chyba dziś załatwić!

— Nie, nie możemy! — Nowaka aż coś poderwało. Krzyknął tak gło-



W stoczní: statek na pochylu.

śno, że poczuł zwrócone na siebie oczy wszystkich.

— Proszę o głos! — poprawił się zaraz pod karcącym spojrzeniem przewodniczącego i Cholewickiego. — Towarzysze! Długo się namyslałem, czy mam dziś tę sprawę poruszyć, ale widzę, że dłużej czekać nie można! Znamie mnie nie od dziś. Nie lubię mówić na wiatr, ale uważam za swój obowiązek ostrzec was...

W ciszy, która zdławiła wszelki ruch i śmiech, słyszał swój zachrypnięty głos i głuchy łomot swego serca. Nie patrzył na nikogo, wiedział jednak, że na twarzach zebranych rysuje się coraz wyraźniejsze zmieszanie, niedowierzanie i zaniepokojenie. Ciężkie, twarde słowa padały w tę ciszę jak w głąb bez dna. Już nie można było ich cofnąć! Ta świadomość dodała mu — rzecz dziwna — otuchy. Umocniła go w wierze, że postąpił słusznie. Byli wyraźnie zaskoczeni. Wydawało mu się, że w tej chwili słysza swój długi wobec tych ludzi, których ktoś usiłował oszukać, rozbroić z czujności, aby potem napisać zniechęca...

Milczenie zebranych zaczęło pękać, jak ruszającą na wiosnę lody. Ktoś krzyknął z końca chłopcym, łamiącym się głosem:

— Czemu mu się tak śpieszy z tym wstąpieniem? Nie może poczekać do Zjednoczenia?

— Powiedziałem, Nowak, jak to było z tym tleniem! — powiedział cicho przewodniczący. Słyszał o tej historii od Szwedowskiego i „era” podsuwał brygadziście argument, od którego należało zacząć. Ignacy w pośpiechu zapomniał o tym. Teraz wygarnął wszystko: o tlenie i młotku, znalezionym w wieńcach dźwigu, o propozycjach „łatwej roboty” dla Alojza, o 6 m/m świdrach i uwagach Łabędzkiego, o starym kawale kowal i kowalskiej przeszłości magazyniera. Szczerze, bez ogródek, przynawał... że nie ma ostatecznego dowodu, że

może krzywdzi Maj, ale dodał, że przedtę, czy później prawda jak oliwa musi wypłynąć na wierzch...

Niedowierzanie egzekutywy ustępowało wolno oburzeniu. Trepczyk aż dłoń przylżył do ucha, żeby nie uronić ani jednego słowa. Walkusz drgnął jak oparzony, kiedy uświadomił sobie, że do partii chciał się wkraść ktoś, kto być może podrzucił młotek na jego dźwig. Paczkowski, słuchając o 6 m/m świdrach, poczuł, że ktoś zdiera mu brutalnie zasłonę z oczu i mruknął:

— Tak, to jasne jak fusy, a ja teraz dopiero rozumiem...

Cholewicki, ze wstydu, że tak dał się nabrać, wtulił jeszcze mocniej głowę w ramiona i zrobił się jeszcze czerwieniej.

A Nowak brnął dalej, aż powiedział im wszystko: fakty i domysły, podejrzenia i wątpliwości. Ogarnęło go uczucie jakiejś podnieconej odwagi, jak wtedy, nad Manzanar, w momencie, poprzedzającym atak na bagnety...

— Mnie, rozumiecie towarzysze, nie chodzi o to, żeby wyrzucić Maję ze Stoczní, żeby robić mu bez konkretnych dowodów jakieś szkany... Ale to, co powiedziałem, starczy chyba, żeby wziąć go na oko, tak bez zwracania uwagi... To mój formalny wniosek!

Siadając, popatrzył na dyszące burzliwymi głosami, zadymione wnętrza i poczuł przesywającą, mocną radość, że należy do nich, że rozumieją go! Taka radość, jaką czuł dawno temu, gdy zrozumiał pierwsze swoje hiszpańskie słowa: „No pasaran!”

Wniosek Nowaka przyjęto przytłaczającą większością głosów.

Fenikowski Franciszek

*) Fragment z powieści pt. „Z pięciu gwiazdek”, początek patrz „Wieś” nr. 12.

S. KRZEMIEN

HISTORIA KSIĄŻKI O KLASIE ROBOTNICZEJ



Jerzy Pytlakowski

W r. 1946 wychodzą z druku dwie pierwsze książki J. Pytlakowskiego: „Powstanie Mokotowskie” (reportaż) oraz „Wielki cień” (opowiadania). Obie one i wydana dopiero w 1949 r. powieść „Życie przed śmiercią” (pamiętnik więźnia skazanego na śmierć) tematyką sięgają czasów okupacji.

W 1948 r. Pytlakowski wydaje „Olimpiadę”, nowelę sportową, odznaczoną III nagrodą — najwyższą w dziedzinie literatury. W tym roku przedolimpijskiego Konkursu Literackiego. Do tematu z życia współczesnego sięgnie autor dopiero w „Fundamentach”.

Wydana w 1948 roku książka ta jest pierwszą próbą powieści o współczesnej klasie robotniczej — pierwszą nie tylko w dorobku pisarskim Pytlakowskiego, ale w ogóle w powojennej prozie literackiej. Akcja toczy się w pierwszych miesiącach powstawania z gruzów iłabędzkiej wrocławskiej fabryki wagonów „Pafawag”, od lipca 1945 do czerwca 1946 roku.

Niewątpliwie wybór tematu i umiejscowienie akcji były słuszne. W pierwszych miesiącach po objęciu władzy przez proletariát trzeba było przede wszystkim uchwycić w ręce produkcję. Szczególnie opowiadanie sytuacji na odcinku przemysłu ciężkiego stało się wtedy podstawowym politycznym zadaniem klasy robotniczej. Tu rozegrała się zasadnicza próba ognia sił proletariatu polskiego.

Walka rozpoczynała się w niezwykle trudnych warunkach, wobec niesłychanego ogromu powojennych zniszczeń, wobec zacietej antyludowej postawy wrogów klasowych, nie cofających się przed wszelkimi formami walki podziemnej, wobec zrozumiałego tuż po wojnie zjawiska dezorientacji dużej części świeżych kadr. Wyprodukowanie w ciągu 11 miesięcy tysiąca wagonów, wymagającego zmobilizowania wszystkich sił robotniczej proletariatu. Wyjść zwycięsko z tej próby mógł tylko świadomy, wyrobiony kolektyw robotniczy, kierowany przez awangardę klasy — ludzi Partii.

Artystyczne przetworzenie ogromu problemów i konfliktów tych lat, wymagało przede wszystkim rzetelnej i głębokiej marksistowskiej oceny historycznej okresu. Szczególnie wnikliwa powinna być analiza sytuacji ideologicznej klasy robotniczej. Poprzez zdecydowane zarysowanie podziału klasowego, poprzez ostrą konfrontację klasy robotniczej z polityczną i moralną nieością przedstawicieli reakcji, powinien autor uwypuklić te wszystkie wartości, jakie teraz po zdobyciu władzy mógł wnieść i wytworzyć proletariát i jakie wniosła i wytworzyła polska klasa robotnicza.

Recentnie pojawiły się natychmiast po ukazaniu się książki. Pisał W. Woroszyński (Odrodzenie 1948, nr. 46), H. Michalski (Odrodzenie 1948, nr. 48), L. Sobierajski („Czy tak o klasie robotniczej?” Wieś, 1949 nr. 7), pisali krytycy radzieccy w „Literaturze Radzieckiej” (1949 r. nr. 6). Głosy były na ogół bardzo krytyczne. Zarzucano autorowi, że nie dał trafnego obrazu klasy robotniczej, że nie odzwierciedlił w słuszny sposób historii

owego czasu. „Autor wbrew pozorom i własnej zapowiedzi nie zaryzykował uczynienia z historii Pafawagu osi fabularnej Fundamentów (Woroszyński). Pisano, że w książce, która miała mówić o socjalistycznym budownictwie, nastąpiło przesunięcie z pozycji realizmu, na pozycję psychologizmu. Zamiast mocnych, zdecydowanych, słusznie zarysowanych postaci bohaterów socjalistycznych, mamy ustawicznie grzebanie się we własnym wnętrzu, maniackie analizowanie abstrakcyjnych uczuć, motywowanie postępów człowieka przez różne odmiany niewyżytego erotyzmu: Boczar, Grabin, Kama, Jadwiga (Woroszyński). Tysiączna węglarka została wypuszczone, ale jak to się stało? Kto tego dokonał? „Ktoś aktywizował załogę, ktoś podciągał niefachowy element, ktoś uczył, nakłaniał i przekonywał, ktoś formował masę robotniczą”.

Tę właściwą bohatera powieści nam nie pokazuje, autor go przed czytelnikiem nie odkrywa... Otrzymaliśmy wizję Pafawagu w wewnętrzny, psychologizujący obrazie osób, mechanizmu działania wielkiego zakładu przemysłowego nie poznaliśmy, nie poznaliśmy tych historycznych sił napędowych, które z gruzów uczyniły fabrykę produkującą sześćset wagonów na miesiąc, nie poznaliśmy jej budowniczego — świadomego robotnika partyjnego; człołowe postacie książki są lepiące nie na proletariacką miarę. Więcej w nich mieszczańskich tradycji literackiej, niż poznania i wiedzy o klasie robotniczej” (Sobierajski). Fakt, że Pytlakowski nie umiał zająć odpowiedzialnej postawy poznawczej i wartościującej w stosunku do opisywanej rzeczywistości decyduje o tym, że należy przynajmniej rację Woroszyńskiemu, kiedy mówi: „Pytlakowski podjął temat wielki i odpowiedzialny. I dlatego słowa krytyki są tu może ostrzejsze, niż gdyby temat był biały. Pytlakowski jest pisarzem ambitnym. Jest pisarzem — i to najważniejsze — partyjnym. Powinien wyciągnąć konsekwencje z tego nieporozumienia za jakie uznać należy Fundamenty”.

Wobec wielkich zadań, jakie ma dziś przed sobą literatura, wobec

ogromnego wzrostu autorytetu „słowa pisanego” rosną również i obowiązki krytyki literackiej. Wymaga się od krytyki, żeby wiedziała dużo: i o książkach i o życiu. A przede wszystkim wymaga się od niej uczciwego, sumiennego — socjalistycznego stosunku do ocenianych utworów. Uważa się — i słusznie — że tylko rzetelna, trafna, obiektywna, konsekwentna, naukowa krytyka, da odpowiedni rezultat.

Prawda. Ale nie bądamy jednostronni. Żeby krytyka literacka miała swój obiektywny sens, musi zaistnieć równie sumienny, socjalistyczny — stosunek pisarza do krytyki. I w tym właśnie sek.

Parę dni temu wyszło II wydanie „Fundamentów” (**). Na okładce wyraźnie: „przejrzane i poprawione”. W przedmowie czytamy: „Pisząc „Fundamenty” na gorąco (...) nie zdołałem uniknąć błędów, które wpłynęły ujemnie na wartość książki. Na wiele spośród nich otworzyły mi oczy publikowane w języku rosyjskim w prasie radzieckiej, a także po polsku w miesięczniku „Literatura Radziecka” omówienia radzieckich krytyków, oraz opinie niektórych polskich krytyków. Przygotowując tekst II wydania starałem się usunąć wady książki, na które zwróciłem uwagę po przyjacielsku bar-dziej doświadczeni kolezcy radzieccy i polscy”.

Milosiński książki zawsze będzie zachęcanym, po jakiej linii idą poprawki, dokonane przez autora pod wpływem głosów krytyki. W tym jednak wypadku czeka go rozczarowanie. Autor bowiem wybrał linię najmniejszego oporu. Po prostu całą pracę ograniczył do umieszczenia jednej, jedynej wstawki (o niej potem) i kilkunastu drobnych skreśleń. Skreślenia te idą w dwu kierunkach: albo jest to usuwanie zbyt rażących przesłowań psychologizmu, zamiłowania do analizy historycznych „kompleksów” postaci powieściowych, albo są to niewielkie uproszczenia akcji lub poprawki stylistyczne. I to wszystko! Ideologicz-na koncepcja akcji i charakterów pozostaje w dalszym ciągu ta sama. Autor nie dokonał żadnej poważniejszej — żadnej w ogóle przebudowy koncepcji książki, która by

zdeaktualizowała zarzuty, stawiane jej I-mu wydaniu.

Na końcówkach kartach I-go wydania autor, jak gdyby w podsumowaniu daje krótkie charakterystyki bohaterów. I tak oto wyglądają wg. tej dokonanej przez samego autora oceny, postacie książki:

Boczar, robotnik, w trakcie pracy obejmujący stanowisko dyrektora — o którym wiemy, że jest w Partii, to człowiek, który zupełnie nie rozumie sensu swego czasu... Oblicze życia zmienia się. On to widzi. A przyczyny? „Czy to była siła, czy co innego, nie wiem. Wiem, materialny obraz świata zmienił się, ale my, ludzie, nie nadążaliśmy za tymi zmianami... Ja gubiłem się już tyle razy...”

Grabisz, inżynier, który w akcji powieści gra rolę bodaj najbardziej pozytywnego bohatera, jest człowiekiem, który dużo robi, ale bez świadomości celu, do którego dąży. „Stale bardzo szybko siedem na przód. Byłem wiecynym wyścigowcem, chociaż znajomość trasy mojego biegu, a także jego mety, nie dochodziły do mojej świadomości (...) życie stało się dla mnie zagadką”.

Woliński — inżynier, jeden z ludzi kierujących fabryką. Partyjny. Jest określony jako człowiek ambitny, bezwzględny, nie liczący się z niczym i nikim w dążeniu do celu.

Kama — córka zmarłego dyrektora Ożarskiego, to wykończona ofiarą losu, „zdająca sobie sprawę ze swej tragedii i młotająca się, szukająca...” Ma stały sentyment do przeszłości. Ciągłe walczy, szarpie się z samą sobą, cierpi...

Id. cała galeria historyków, ani jednego sensownego człowieka.

Te charakterystyki w II wydaniu znikły. Ale same postacie istnieją w dalszym ciągu — tak jak zostały pierwotnie pomyślane. Bez żadnych zmian. Zerwano tylko etykiety. Zupemnie jakby ktoś korektę artykułu ograniczył do skreślenia tytułu.

Koncepcja książki pozostała w całości ta sama. Wobec tego i zarzuty pozostają w dalszym ciągu w całości te same. Mimo poprawek, książka nadal nie mówi prawdy o klasie robotniczej. Ludzie, których autor czyni bohaterami książki, nie są związani z proletariatem, są to lu-

dzie klasy robotniczej zupełnie obcy. Problem walki klasowej został błędnie przesunięty na płaszczyznę psychologiczną. Dlatego obiektywne sens przemian 45-go roku, których siłą napędową była klasa robotnicza, była Partia — została w książce wypaczona.

„Czy rozumiecie co to jest Partia? Nasza Partia to nie czcze słowo. Siła Partii jest i była siłą ogółu robotników. Siła ta najdobitniej uwypukliła się w czasie zmagania z najeźdźcą hitlerowskim (...) Gdy hitleryzm został rozbity, komunisty przystąpili do najtrudniejszych zadań odbudowy, znów, jak zawsze, w pierwszym szeregu. To Partia i jej ludzie przystąpili do odbudowy i kierowali nią. Bo to są nasze rządy i nasza odbudowa: ludzi pracy, robotników, chłopów. Wrocław, wstający z gruzów, fabryka, ci ludzie, co w niej po nowemu pracują, — to Partia”.

Jest to fragment z jedynej wstawki, jakiej autor dokonał w II wydaniu: z rozbudowanego przemówienia Grabisza na zebraniu robotniczym. Ale co my poza tym wiemy o Partii? Tylko tyle, że w pewnym momencie Partia za sprawą Wolińskiego przyjmuje do swych szeregów Goździkiewicza. A Goździkiewicz — to spekulant i sabotażysta, współdziałający z podziemiem. Partia ma być dla niego parawanem.

Poza tym o Partii w książce głucho. Historycznej roli, jaką właśnie w tym okresie spełniła Partia, autor w swej książce nie pokazał.

„A...nie wolno się nam zadawać dotychczasowymi osiągnięciami — mówił prezydent Bierut na VI Plenum. — Jest naszym gorącym pragnieniem aby powstała u nas dzieła, godne naszej wielkiej epoki, godne naszego narodu. Nie szczędźmy więc krytyki, zachęcamy do śmiałych poszukiwań twórczych w naszym przegotowanym, pulsującym, nowym życiu”.

Sławomir Krzemień

*) J. Pytlakowski: „Fundamenty”, „Prasa Wojskowa” 1948 r.
**) Pytlakowski „Fundamenty” II, wyd. „Prasa Wojskowa”, 1950 r.

Tadeusz Orlewicz

Rośnie dobrobyt ludzi radzieckich

W grudniu 1947 r. w wyniku sukcesów gospodarki narodowej w Związku Radzieckim zniesiony zostaje wojenny system kartkowy i przeprowadzona reforma pieniężna. W ślad za tym następuje pierwsza obniżka cen na szereg artykułów masowego zapotrzebowania. Siła nabywcza ludności podnosi się dwukrotnie.

W latach, w których kraje kapitalistyczne coraz ostrzej odczuwają na swej skórze „pomoc” amerykańskich opiekunów zza Oceanu, kiedy plan Marshalla obejwładnia całkowicie gospodarkę krajów wasalnych, kiedy zwykłe stale barometr głośno jako wskaźnik życia robotnika

Smith czyta gazetę wtedy, gdy na bulwarze zapomni jej przechodeń. Smith zaciska pięści. Wczoraj jego brat, od dwóch lat bezrobotny, wywiesił kartkę: sprzedam dwie dzieci w dobre ręce. Kilka dni temu widział swoich dobrych znajomych, jak grzebali w śmietniku w dzielnicy bogaczy, aby znaleźć coś do zjedzenia. Ale Smith był wczoraj również w szkole, skąd usunął jego syna, bo nie opłacił czesnego. Na lekarza dla poratowania córki wydał cały swój tygodniowy zarobek.

Smith jest zmęczony. Maszyna wyzysku kapitalistycznego od lat wysysa z niego siły. Ale Smith nie może

i nielicznych rekinów kapitalistycznych — oto rezultaty podziału dochodu narodowego w krajach rządzonych wyzyskiem.

W Kraju Rad cały dochód narodowy służy ludowi. Im bogatsza staje się radziecka ojczyzna, tym bardziej wzrasta stopa życiowa każdego człowieka radzieckiego. Przemysł zwiększył swoją produkcję o 73% w porównaniu z rokiem 1940. Przekroczony został poważnie przedwojenny poziom globalnej produkcji rolnej; powstaje tysiące nowych fabryk i zakładów przemysłowych. Wspaniale maszyny, stają w służbie ludowi epoki komunizmu. Potężne buldożery, które w ciągu godziny oczyszczają i wyrównują wieloktórakową powierzchnię. Każda z takich maszyn zastępuje pracę 300 ludzi, bo wydajność nowego ekskawatora wynosi w ciągu doby 20.000 m sześć gruntu, a więc tyle, ile załadować można na 40 pociągów towarowych. Zautomatyzowane fabryki betonu, w których wyeliminowana została całkowicie praca fizyczna.

Zmiany ilościowe przechodzą w zmiany jakościowe w całej gospodarce Kraju Rad. Na bazie upowszechnienia na skalę masową najbardziej produkują, wysoko wydajnej techniki stopniowo zacierają się różnice pomiędzy pracą umysłową a fizyczną.

Przejsie od kapitalizmu do socjalizmu — to rewolucyjny skok z jednej formacji społeczno-ekonomicznej do drugiej formacji. Przejsie do socjalizmu — to stopniowy rozwój jednej i tej samej formacji społeczno-ekonomicznej. To przejsie charakteryzuje się ciągłym, wzrastającym tempem rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Na naszych oczach rosną giganty stalinyzmu. Rosnie tempo rozwoju sił wytwórczych. Powstaje nowa baza materialna — techniczna, baza społeczeństwa komunistycznego.

Cztery kolejne obniżki cen — to również znak zachodzących przemian, które w konsekwencji prowadzą do zastąpienia zasady: każdemu według ilości i jakości pracy — zasadą: każdemu według jego potrzeb. Cztery obniżki cen — to przykład, w jaki sposób następuje podział nieustannie rosnącego dochodu narodowego w kraju zwycięskiego socjalizmu. Tam,

lioniów m. kwadratowych powierzchni mieszkalnej, w kołchozach — 885 tysięcy domów. Republika liczy 157 wyższych zakładów naukowych. 7 milionów uczniów uczęszcza do tysięcy szkół.

Na terytorium Rosyjskiej Republiki Związkowej w roku 1914 było 71 wyższych uczelni, a obecnie liczba ich przekracza 500. W Republice tej na finansowanie gospodarki, narodowej i na wydatki społeczno-kulturalne, prelinuje się 90% wszystkich wydatków budżetowych.

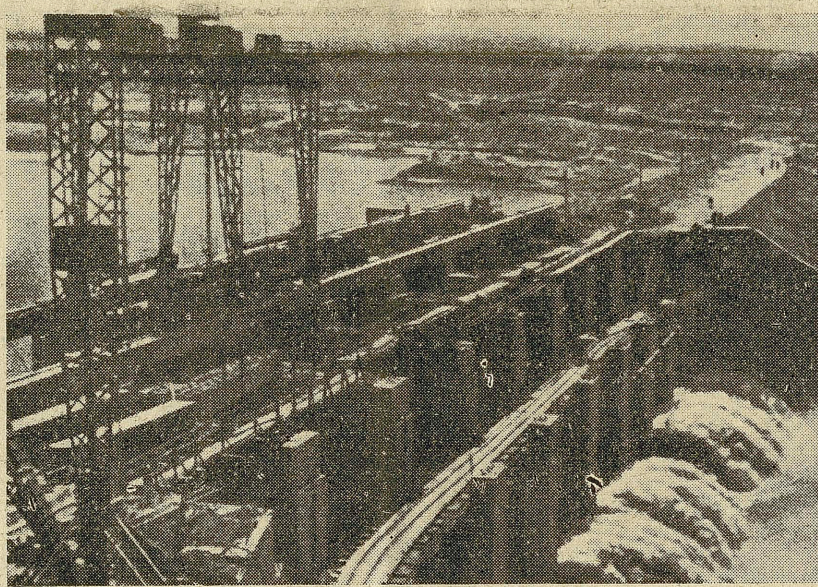
W Kazachstanie, przed pierwszą wojną światową zaledwie 1,5% ludności umiała czytać i pisać. Dziś Kazachstan nie ma analfabetów. Dziś kraj ten ma 23 wyższe i 108 średnich technicznych zakładów naukowych, tysiące szkół podstawowych. Ogólny nakład książek w języku kazachskim — 80 milionów egzemplarzy i 10 tysięcy tytułów. (Polska 1950 — 5200 tytułów i 116 milionów egzemplarzy).

W Uzbekistanie ukazują się obecnie 116 gazet. W okresie od 1928 do 1949 roku przeszło 80 tysięcy Uzbeków otrzymało wyższe wykształcenie.

W Gruzji władza radziecka wybudowała wiele wspaniałych sanatoriów i domów wypoczynkowych. W Tadżykistanie liczba lekarzy wzrosła w porównaniu z okresem przedrewolucyjnym przeszło 78-krotnie. Dzięki ustrojowi radzieckiemu naród tadżycki ma już poważne kadry swojej narodowej inteligencji. Na Litwie w okresie władzy radzieckiej, powstało w Republice przeszło 3500 szkół i 11 wyższych zakładów naukowych.

Oto jak w Kraju Rad, w ojczyźnie wolnych narodów, socjalistycznej, wygląda wtórny podział dochodu narodowego. W Azerbejdżanie, w Turkmenii, w Tadżykistanie, w azjatyckich republikach ZSRR, niedługo stojących na prymitywnym stopniu rozwoju, kwitnie dziś dobrobyt i potęga gospodarcza ludu.

A o między granicą w krajach kolonialnych... „Mieszkańcy kolonii do samej śmierci pozostają młodymi. Jak mogą być u nas starcy, jeżeli przeciętny wiek Hindusa wynosi 22 lata. Rodzimy się i żyjemy w pięć lat śmierci. Znamy tylko ciężką pracę, poniżenie i głód”. Tak mówił przed-



w krajach giniącego świata, w tym samym czasie rozwija się tylko jeden odcinek: orgia wyzysku i zysków podpalaczy świata.

Na początku lutego br. ceny artykułów spożywczych były w USA o 24,3% wyższe niż w styczniu 1949 roku. Tylko w trzecim kwartale 1950 r. zyski amerykańskich fabrykantów śmierci wzrosły w porównaniu z tym samym okresem roku poprzedniego o 50%. W tym samym czasie dochody przeszło połowy rodzin amerykańskich są o 25 — 30% niższe od najniższego minimum egzystencji.

W okresie rządów labourystów w Wielkiej Brytanii, ogólny wskaźnik cen wzrósł prawie w dwójnasób. Ponad 40 artykułów masowego zapotrzebowania objęto wysoką zwwyżką. W tym samym czasie zyski monopolistów angielskich wzrosły w roku 1950 mniej więcej o 20% w porównaniu z rokiem 1949, w którym — warto wyjaśnić — były one trzy razy większe od zysków przedwojennych. Nie ma tu miejsca na troskę o dobro człowieka pracy, na troskę o lud, o naród, o niepodległość narodową.

A w Związku Radzieckim — rozwija się i trwa szybko i nieustannie podnoszenie materialnego, kulturalnego i zdrowotnego poziomu narodu. 525 milionów rubli — oto kwota wydatków Kraju Rad na cele socjalno-kulturalne w ciągu ostatnich pięciu lat. 26,8% budżetu państwowego na rok 1951 — to wydatki na stale rosnący program ruchu oświatowego, ochrony zdrowia, opieki społecznej i ubezpieczeń społecznych. Tylko w ciągu 1949 roku ludność otrzymała tytułem różnych świadczeń i zasiłków (wzrosty, ubezpieczenia, stypendia itp.) kwotę trzy razy większą od sumy asygnowanej przez państwa radzieckie na te same cele w roku 1940. Tak się dzieli dochód narodowy w socjalizmie.

Na Ukrainie, w stolicy zagłębia donieckiego, w roku ubiegłym budowano 900 nowych gmachów. Odbudowano w miastach republiki — 21 mi-

Henryk Bereza

„Ameryka nieoficjalna”

Dobrze się dzieje, że polskie wydawnictwa interesują się popularnymi, dobrze napisanymi pozycjami, które w należyty sposób oświetlają problem amerykański i zadają kłam wysłuchanym hasiom amerykańskiej propagandy, pragnącej w powodzi pięknych słów zamaskować właściwe oblicze zaoceanicznego imperializmu. Z ostatnio wydanych pozycji na szczególną uwagę zasługuje zbiór doskonałych reportaży radzieckiego publicysty Wasiljewa, który w latach 1944 — 47 przebywał w Stanach Zjednoczonych i poznał doskonale „amerykański raj na ziemi”. Książka Wasiljewa nosi nieco dziwny tytuł „Ameryka od strony schodów kuchennych” (*). Autor przedstawia bowiem „Amerykę nieoficjalną”, Amerykę, o której nie mówią amerykańskie rozgłośnie radiowe, nie piszą monopolistyczne dzienniki, której nie popularyzują hollywoodzkie filmy.

Książka Wasiljewa to zbiór spostrzeżeń inteligentnego obserwatora, który ma oczy i uszy otwarte, a widzi i słyszy nie tylko to, co gospodarz pokazuje przy biesiadnym stole i o czym opowiada dla zabawienia gości. W powściągliwej w tonie książce chodzi autorowi po prostu o uchwycenie prawdy o Ameryce. Dlatego autor widzi nie tylko Empire State Building, najwyższy w Nowym Jorku drapacz chmur, ale dostrzega także z wyżyn tego drapacza tysiące nowojorskich „slumpsów”, ohydnych, kilkupiętrowych kamienic, w których w najprymitywniejszych warunkach mieszkają amerykańscy ludzie pracy, i bezstronnie stwierdza, że jednak „slumpsy” są liczniejsze, że one także nadają swoisty charakter właściwej stolicy Stanów.

Mimo woli nasuwają się na myśl amerykańskie dane statystyczne. W 1926 roku 87 proc. ogółu społeczeństwa amerykańskiego było w posiadaniu tylko 8 proc. majątku narodowego, zaś 59 proc. tego majątku należało do największych potentatów USA, stanowiących zaledwie 1/100 część społeczeństwa amerykańskiego. Amerykanin Lundberg w swojej książce „Americas 60 Families”, wydanej w Nowym Jorku w 1946 roku, dowodzi, że Ameryka, władza 60 najbogatszych rodzin kraju; skromniejszą rolę odgrywa 90 rodzin milionerów i 350 rodzin satelitów. „Te rodziny — stwierdza autor — są życiodajnym centrum współczesnej oligarchii przemysłowej, panującej i działającej w Stanach Zjednoczonych tajnie pod płaszczykiem demokratycznej i jure formy rządów, za którą się kryje absolutystyczny i plutokratyczny w swej treści rząd de facto. Rząd de facto jest w rzeczywistości pełnoprawnym rządem Stanów Zjednoczonych — aczkolwiek jest nieoficjalny, niewidoczny i kryje się w cieniu. Ten rząd — to rząd pieniędzy i dolarowej demokracji”. „Większość ludności St. Zjedn. — pisze Lundberg — chociaż brzmie to jak paradoks, jest biedna i większość poza skromnym umeblowaniem i ubraniem na codzień, nie posiada nic ponad to”.

Życie mieszkańców „slumpsów” mogą zaszokować ci, którzy nie mają mieszkań w ogóle. W chicagowskim ogrodzie spotkał Wasiljew weterana z drugiej wojny światowej, który zmuszony był zamieszkać w namiocie z płacht, gdyż nie mógł znaleźć pracy, a koszty mieszkań w Ameryce pochłaniały często połowę budżetu pracujących. „Każdy kamienicznik w pogoni za bardziej dochodowymi lokatorami może wyrzucić ich na bruk”.

Życie białych jest rajem w porównaniu z życiem ludności kolorowej w murzyńskich gettach i nielicznych rezerwach dla czerwono-skórych Indian. Amerykańska propaganda zapomina, że w dwudziestym wieku, w kilka lat po zwycięstwie nad faszyzmem, w Ameryce stnieją kina, szkoły i teatry „tylko dla białych”, że policja państwa ma prawo aresztować ludzi, żyjących w przyjaźni z Murzynami, że w Ameryce możliwe są takie fakty, jak opuszczenie pociągu przez białych na skutek obecności w nim czarnego człowieka. Ci sami moco-dawcy, którzy popierają najhaniebniejszą dyskryminację rasową, którzy pozwalają na działalność faszystowskich bojówek, którzy wysadzają do więzienia wszystkich, mających odwagę oponować przeciwko reakcyjnej polityce Stanów, nawołują do krucjaty przeciwko Związkowi Radzieckiemu rzekomo w obronie zagrożonej kultury amerykańskiej. Mówienie „leżka w oku” o amerykańskiej kulturze ma posmak niemal grotesku. Jeśli się dokonuje oceny tej kultury z pozycji socjalizmu, jeśli się uwzględni, jak wielkie możliwości otwierają się przed kulturą społeczeństw socjalistycznych, kultura amerykańska nabiera cech patologicznych, staje się rozpaczyliwie płytka, całkowicie ahumanistyczna. Nie wiadomo właściwie, co imperialiści uważają za kulturę. Samochody, dostępne dla niewielu zresztą, drapacze chmur, krzykliwe neony i reklamy z jednej strony, upadek sztuki, ciemnota, plugawy rasizm z drugiej strony. I to ma być owa amerykańska kultura, której imperialiści chcą broń, choć jej nikt burzyć nie myśli? Książka Wasiljewa roi się od bystrzych spostrzeżeń, dowiecnych paralel, głębokich interpretacji.

I jasne się staje, dlaczego w Waszyngtonie nie ma miejsca dla robotników. Kongresmeni i senatorzy, politykerzy i aferzyści chcą spokoju nie zlatwiać swoje sprawy „bez ciągłego oglądania się na przedmieszcza robotnicze”.

nopolizowany przez cztery wielkie syndykaty, które skoncentrowały w swych rękach ponad 900 stacji. Olbrzymia większość audycji radiowych jest zakupiona przez przedsiębiorstwa radiowe dla celów niezmiennie nie skrepowanej reklamy”. Tzw. „opery mydlane” i „radio-comics” stanowią trzon audycji amerykańskiego radia. „Mistyka, psychopatologia, ordynarne prymitywne instynkty, deprawacja seksualna, oszustwo społeczne, usprawiedliwienie militarystyki i imperializmu — oto zasadnicze treści amerykańskich filmów”.

Oddziaływanie takiej sztuki jest nieudane, do przewidzenia. Jeżeli sztuka nie służy dobrej sprawie, musi służyć złej. W Ameryce „prasa, kino i radio wychowują chłopaka z początku na ulicznego łobuza, potem na drobnego uzusta i wreszcie na wytrawnego bandytę”.

Sztuka, którą rządzi business, nie jest właściwie sztuką. Czyż potrzeba mnożyć przykłady, wykazujące zwyrodnienie amerykańskiej sztuki, zaspakajającej najniższe instynkty ludzi? Nowatorskie „latrinofony”, instrumenty muzyczne zrobione z miski klozetowej, walce strausowskie wykonane za pomocą czkawki, „Majonezy z Chopina” byłyby śmieszne, gdyby nie były tak przerażająco kompromitujące.

Władcom Ameryki nie zależy na oświeceniu własnego narodu. Ciemnota, zabobony, mistycyzm tzw. „przebiegłego Amerykanina” rażą Wasiljewa, przedstawiciela narodu, którego wychowanie jest oparte na naukowym światopoglądzie. I znów dane statystyczne mają swoją wymowę. W Nowym Jorku jest 2800 kościołów, ale tylko 855 szkół. Na amerykańskich uniwersytetach wykładają taktykę masowego zniszczenia, metodologię łobudobstwa. Amerykanie mają zresztą krótką, ale doskonałą zaprawę w amerykańskich muzeach historycznych można się dowiedzieć, że pierwsi koloniści „byli uzbrojeni nie tyle w muszkiety, co w krzyże, którymi błogosławili pokornych i pragnących nawrócenia się na wiare chrześcijańską Indian”. Widocznie krzyż zbyt ciężkim brzemieniem spadał na barki pocziwych Indian, skoro tylko nieznaczne reszki czerwono-skórych szczerpów żyją na amerykańskim lądzie.

„Ameryka od strony schodów kuchennych” jest skarbnicą niezliczonych typowych ciekawostek z życia i obyczajowości Amerykanów. Wasiljewa wszystko interesuje; słucha więc kazań katolickich księży, uczestniczy w misteriach sekt, ogląda nowojorskie Lourdes, przygotowuje dla biznesu, bawi w Miami, uzdrowisko dla miliardów na Florydzie, rozmawia z robotnikami i postępowymi intelektualistami, którzy zdają sobie doskonale sprawę z tego, co się w Ameryce dzieje.

Niezwykle przenikliwe scharakteryzował Amerykę Lenin, gdy w referacie „O Państwie” w 1914 roku powiedział, że „nigdzie władza kapitału, władza garstki miliardów nad całym społeczeństwem nie przejawia się tak brutalnie, w takich niezamaskowanych formach przekupstwa, jak w Ameryce”. „Staromodny symbol demokracji amerykańskiej — uogólnia Wasiljew swoje spostrzeżenia — w żadnym stopniu nie odzwierciedla właściwej treści życia politycznego i kulturalnego Stanów Zjednoczonych. Wszystko to nie jest niczym więcej jak teatralnym rekwizytem, obliczonym na to, aby wywołać niewymyślny efekt sceniczny i w ten sposób ukryć prawdziwą istotę tak zwanego „amerykańskiego stylu życia”.

Odpowiedzą amerykańskiej propagandy na konsekwentnie pokojową politykę Związku Radzieckiego, na wysiłki światowego ruchu obronczego pokoju, na pragnienia mas proletariackich Ameryki jest frazes, że Ameryka przygotowuje się do wojny tylko dlatego, aby zabezpieczyć pokój. Książka Wasiljewa i pod tym względem pełni funkcję demaskatorską. Już w 1944 roku wróble na amerykańskich dachach ćwierkały, że na gwałt przygotowywane bazy wojskowe na Alasce miały służyć w wojnie przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Przecież amerykańscy meżowie stanu nie kryli się wcale ze swymi projektami nowej wojny. Dzisiejszy prezydent Truman wypowiedział w 1941 roku swoje credo polityki międzynarodowej: „Jeśli zobaczymy, że Niemcy wygrają, to powinniśmy pomagać Rosji, ale gdy Rosja zacznie wygrywać, powinniśmy pomóc Niemcom i w ten sposób niech się zabijają jak najwięcej”.

Prości ludzie Ameryki, proletariusze, przesładowani przedstawiciele czarnej i czerwonej rasy, robotnicy rolni, wyrzuceni z ziemi drobni farmerzy właśnie oceniają perfidię amerykańskiej polityki, niesprawiedliwość, jaka panuje w ich ojczyźnie, która jest „rajem dla bogatych, piekłem dla biednych”, w której panuje „moralność dzikich zwierząt”.

I jasne się staje, dlaczego w Waszyngtonie nie ma miejsca dla robotników. Kongresmeni i senatorzy, politykerzy i aferzyści chcą spokoju nie zlatwiać swoje sprawy „bez ciągłego oglądania się na przedmieszcza robotnicze”.

HENRYK BEREZA

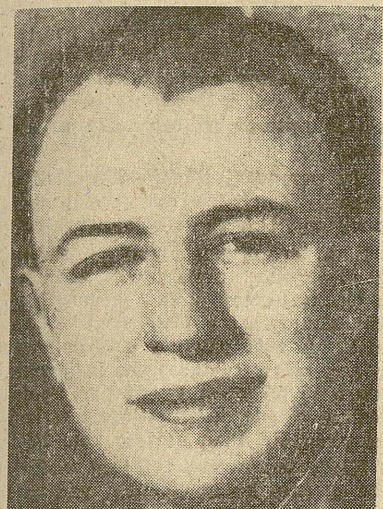
(*) A. Wasiljew, *Ameryka od strony schodów kuchennych*, Książka i Wiedza, 1950.

Tadeusz Orlewicz

Waldemar Kiwilszo

O walce klasowej w USA

I.
CHCAC dokładnie zdać sobie sprawę z obecnej pozycji Howarda Fasta w literaturze Stanów Zjednoczonych, należy umiejscowić go w bardzo pobieżnie choćby naszkicowanym kontekście rozumianej szeroko współczesności.



Howard Fast

Wśród poszukiwań najbliższego rodowodu społeczno - ideologicznego twórczości autora „Obywatela Toma Pame’a”, wejdemy w lata trzydzieste, które zrodziły w Ameryce głośny nurt literatury protestu, będącej odpowiedzią radykalizującej się części orobomieszczaństwa na zagrożenie podstaw własnej egzystencji przez powstawanie ekonomiczne wyniki z kolejnego kryzysu. Lata te odświeżyły literaturę. Na widownię literacką wkroczyli nowi pisarze. Wnoszą oni bunt obywatelski, który nie gwarantuje spokoju i stałości życia. Tu się zaczyna droga twórcza Erskine’a Caldwell’a, Richarda Wright’a, Johna Steinbeck’a i innych pisarzy nazywanych „progresywnymi”. W olużu nadszających „dni grozy” radykalizują się także dawni moralisci. Pryskają iluzje bajecznej ponadklasowej zgody, gina ostatnie złudzenia. W reżimie ostrych poczynań pisarzy powstają utwory nazywane później ogólnym mianem literatury „okrucieństwa”, „brutalności” życia. Przykładem jej są „Myszy i ludzie” Steinbeck’a czy „Droga tytoniowa” Caldwell’a. Książki, znane dobrze naszym czytelnikom, kompromitowały ustrój skazujący człowieka na bydlęcość wegetowania. Jednakże dalsza ewolucja „progresywnistów” amerykańskich była mniej chlubna, niż ich początek.

Odechodzenie od realizmu cechuje nową, ostatni okres literatury amerykańskiej. Poprzednio ukazywano brutalność życia stałe się kanonem estetycznym, realizowanym w nowych utworach z zabójczą konsekwencją. Teraz chodziło bowiem już jedynie o niezwykłość tematu.

Pierwsza powieść Fasta („Dzieci”), obrazująca upodlenie i nędzę życia dzieci wielkomiasteczki, chociaż i znamieną się w tym podziałem aktualną tematykę, nie zapowiadała jeszcze rewolucyjności pisarza. Zdradzała niebezpieczne uleganie autora wpływom mieszczańskiego naturalizmu, znanemu wówczas „la grupy pisarzy dawnych „progresywnistów”. Z czasem Fast zdecydowanie oddał się od tych wpływów ideowo-artystycznych.

Rozgłos i sławę przodującego pisarza postępowego Ameryki przyniosły Fastowi ogłoszenia w latach drugiej wojny światowej powieści historyczne: „Zrodzeni z wolności” (1933), ostatnio przyswojona naszej literaturze „The last frontier” („Ostatnia granica”, 1941), „Niezwyciężeni” (1942), „Obywatel Tom Paine” (1943), „Droga do wolności” (1944).

Gatunek powieści historycznej uprawiany jest nagminnie we współczesnej amerykańskiej literaturze. Imperializm powołał go na równi z innymi na służbę i służy mu on dzisiaj przez szerokie propagowanie reakcyjnych politycznych filozoficznych idei. Autorytet historii — oczywiście, umyślnie w sposób fałszywy preparowany — ma przekonywać do wartości ustroju wyzysku. Taki na przykład sens polityczny ma jedna ze starych „atrakcji” amerykańskiego rynku wydawniczego — powieść Margaret Mitchell „Przemiętło z wiatrem”, idealizująca plantatorsko-niewolniczy ustrój starego południa, który podważony został w wojnie z Północą. Inny przykład. Thornton Wilder, autor znanej w Polsce książki „Most w San-Lui-Rey”, w swych powieściach i dramatach „historycznych” głosi uparcie i z cynizmem tezę o bezsensowności wszelkich poczynań człowieka, o absurdzie jakiegokolwiek bądź działania społecznej, każąc ludziom ulegać niepojętnemu, mistycznemu „dokonywaniu się przeznaczenia”.

Istotną rolę w literaturze historycznej Fasta w literaturze zaprzeczającej postępowi historycznemu fałszującej dzieje, wypowiedział w swych utworach bezkompromisowa walka, Howard Fast. On to wziął na siebie trudną i odpowiedzialną wielką rolę — odskazywania historii Ameryki. W swych powieściach historycznych przeprowadza nas pisarz przez węzłowe momenty dziejów amerykańskiej demokracji: burżuazyjnej, wyjaśniając sprzeczności społeczne mówiąc o walce klas, będącej rzeczywistą treścią historii.

Fast nie gubi się w przeszłości, sięga do jej źróźdźce, aby każdorazowo wydobyć z niej aktualny sens polityczny. I dlatego nie zaskakuje nas wcale jego przejście do problematyki całkowicie współczesnej, osadzonej w dniach teraźniejszości.

II

„Clarkton” jest próbą powieściowego zobrazowania typowego kan-

fliktu klasowego w warunkach po-wojennej Ameryki.

Dobiegły końca lata zawrotnej prosperity wojennej wielkich koncernów przemysłowych. Po wojnie wstępuje Ameryka w nowy kryzys. Amerykańscy „specjaliści od spraw polityki”, mówią o walkach proletariatu w tym czasie, przynajmniej sami, że lata potężnych strajków w dobie wielkiego kryzysu (1929 — 1935) miały w sobie „mniej grozy i niebezpieczeństwa politycznego”. Tak. Dziś „Tragedia amerykańska”, to więcej niż tytuł powieści Teodora Dreisera. Epizod tej tragedii ukazuje Fast w omawianej powieści.

Właścicielem fabryki jest pan George Clark Lovell, który mówi o sobie, orke Lovell, który mówi o sobie, że „nigdy nie lubił interesów i nadal ich nie lubi”. To, że nie nimi zajmuje, to fatalna konieczność, bo „przyszła wojna, wszystko i wszyscy byli potrzebni”. „Nie chciałem tej fabryki — mówi dalej — W czasie wojny sądziłem, że spełnia ona jakieś zadanie i że praca w niej czyni mnie pożytecznym dla kraju”. Ten król miasteczka, bo posiadać miliony, upokaja na wszelki wypadek własne sumienie rehabilitowaniem swej działalności ze względu na jej „społeczną użyteczność”. Problem — kę kapitału i milionowych dochodów podbudowuje jakąś filozofią misyjną i czuje się dobrze w tym świecie mitologicznych pojęć. Jednak nie długo cieszy się moralnym spokojem. Robotnicy zatrudnieni w jego fabryce odmienne widocznie mieli zapatrywania na „szlachetność” i „dobroczynność” takiego apostołstwa. Nie poznali się na tym i zburzyli jego ład i spokój swoimi brutalnymi żądaniem podniesienia wynagrodzeń. George Lovell jednak wcale nie zamierza zaspokoić ich żądań. Tym razem zdrowe wyrachowanie kapitalisty otwarcie bierze górę nad filozoficznymi namietnościami.

Lowell z poradą zarządzającego fabryką inżyniera Wilsona decyduje się wezwać pomocy jednej ze specjalnych amerykańskich instytucji do walki z ruchem robotniczym. „Leopold i James” byli „doradcami w sprawach przemysłowych”, mieli swoje biura na trzydziestym drugim piętrze gmachu Empire State w New Yorku.

Na drugi dzień zjawia się w Clarktonie agent firmy „Leopold and James”, wypróbowany „spec” od zagadnień robotniczych Hamilton Gelb. Robotnicy poznają w nim człowieka, który przed wojną zerwał niemało strajków w różnych stronach kraju. Z pomocą miejscowego naczelnika policji, sędziego oraz prowokatorów, który przeniknął w szeregi strajkujących, opracowany zostaje plan rozgromienia strajku.

Przed wszystkim Gelb znajduje „legalny” powód do aresztowania tych, którzy kierują strajkiem — komunistów Danny Ryana i Joe Raya’a. Obaj dostają się w ręce policji. Gelb próbuje ich przekupić. Po niepowodzeniu tej akcji poddaje bezprawnie aresztowanych badaniu, sposoby których nieczym nie odbiegają od tak dobrze wypróbowanych metod gestapowskich sadystów. Jednakże nie udaje mu się złamać hartu i woli komunistów. Ryan po wydoświadczeniu się z rak zbirów organizuje potężną demonstrację protestacyjną. Policjanci strzelają do demonstrantów — wśród strajkujących są zabici i ranni. Mimo wszystko Gelb i jego poplecznicy nie osiągnęli celu. Strajk trwa nadal.

Autorem bardzo wyraziście rysuje postać zawodowego prowokatora i łamistrza Gelba. Jest on cynicznym i wyrachowanym sługusem wielkiego kapitału. Gelb wie doskonale, że komuniści cieszą się zaufaniem robotników i dlatego uważa, że należy z nimi walczyć w sposób jak najbardziej bezwzględny. Wie też „dla czego komuniści są kluczem do zwycięstwa. Nie dlatego, że nawołują do rewolucji, nie dlatego, że pragną obalić rządy, nie dlatego, że rozbijają rodziny, kościoły... to są bajeczki dobre dla tych, którzy chcą z nich korzystać. Nie o to chodzi — mówi sam Gelb. Chodzi o to, że komuniści bardzo mądrze świadczą o robotnikach co do ich własnej siły. Mówią im, ile mogą zdziałać, gdy się ruszą”.

Faszyści Gelbowi przeciwdziałający został w powieści Danny Ryan, sekretarz fabrycznej organizacji komunistycznej. Ten zwyciężający robotniczy jest człowiekiem o przewidującym umyśle i wielkim męstwie. Siła rewolucyjnej przekonań pozwala mu poprowadzić za sobą robotników bez względu na wahania oportunisty Nosky, oficjalnego kierownika związków zawodowych.

Postać Danny Ryana jest najmocniejszym punktem interesującej nas powieści. Fastowi powiodło się przedstawienie w działaniu pozytywnego bohatera. Jest to niewątpliwie sukces przodującego pisarza postępowej Ameryki.

III

W Ameryce są dwie literatury. Zgodnie z tym stanem rzeczy są także dwie krytyki. Jedną reprezentuje „Readers Digest”, druga „Masses and Mainstream”. Z jednej strony — krytyka obozu obywatelskiego, intelektualnego szalbierstwa, albo też nie-masowej reakcji, z drugiej — krytyka poważna, uczelna, pełna poczucia swojej społeczno-wychowawczej doniosłości. Są więc, niewiele rzecz uproszczając, dwa sady o pisarzu.

Spór o pisarza, który zakończył się osadzeniem Fasta w więzieniu za „działalność antyamerykańską” jest pożądaną. Ma swoją wymowę, odświeżając proces wzmaganą się reakcji literackiej w związku z nasileniem się walki klasowej w Ameryce. Wystawia on też bodaj czy nie najlepsze świadectwo samemu pisarzowi.

Waldemar Kiwilszo

*) Howard Fast, Clarkton, przekład Zofii Meissner, „Książka i Wiedza”, 1950.

Co czytać

G. Fisz: „Rzeczywistość radziecka i amerykańskie bajki”. Państwowy Instytut Wydawniczy Rolniczych, Warszawa, 1950.

Znane są słowa pewnego uczonego: „Historia otacza człowieka, a milicy o polach uprawnych, które nas żywią. Zna ona imiona królów i ich potomstwo, ale nie wie o pochodzeniu pszenicy”.

Dużo się zmieniło jednak — tam, gdzie upadł porządek burżuazyjny. W Związku Radzieckim, na równi z imionami zwycięskich wodzów znane są nazwiska twórców nowych odmian i gatunków roślin uprawnych. I oni przecież wygrali nie jedną — jakże dramatyczną i ważną dla swej ojczyzny i ludzkości bitwę, zapewniając pokoleniom zwiększone plony i rozwój kultury.

O tych „pogromcach głodu” o trudach ich badań i zabiegów, o ich osiągnięciach informuje nas 100-stronicowa broszura G. Fisz: „Rzeczywistość radziecka i amerykańskie bajki” wydana przez PIWR. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że książka ta poruszająca szereg zagadnień z dziedziny hodowli roślin uprawnych i problemów teoretycznych ujęta została w formę żywą, opowiadawczą, niemal reportażową. „Akcja” jej toczy się podczas ostatniej wojny światowej, kiedy nauka radziecka zapisała jeden z najpiękniejszych swych rozdziałów.

Oczywiście zadaniem książki nie jest danie systematycznego wykładu zagadnień, autor pragnął po prostu zbliżyć pewne sprawy do czytelnika, zainteresować go tematem, a także sprostować błędne opinie, jakie mogły powstać w umysłach ludzi niedostatecznie świadomych, pod wpływem tendencji fałszywych, głoszonych przez niektórych publicystów a nawet uczonych anglosaskich. A kto wie, czy nie było jego zamiarem skłonić czytelników tej pasjonującej choć prostej opowieści — mającej za temat rzeczywistość, bogatszą od niejednej fantazji — do rozszerzenia i pogłębienia uzyskanych wiadomości, już na drodze lektury prac szczegółowych, jakich niemało publikuje wydawnictwo „Sielichozów” (a których udostępnienia polskiemu rolnikowi i pracownikowi naukowego w postaci odpowiedniego wyboru przekładów możemy się chyba spodziewać). I sądzę, że te cele autor osiągnął w pełni.

W pierwszym opowiadaniu mamy opis pełnej samozaparcia pracy zespołu WIR-u (Wschodniowłocowy Instytut Uprawy Roślin) podczas ostatniej wojny. Wobec zajęcia wielkich obszarów uprawnych przez wroga, powstała konieczność przeniesienia szeregu upraw na wschód. Opracowano szczegółowy plan i posegregowano olbrzymią kolekcję nasion WIR-u (ok. 200 tys. próbek, w czym samych tylko czterech podstawowych zbóż 70 tys. próbek). Zbiórka każda próbka na dwie części: jedna miała pozostać na miejscu, druga przeznaczona do ewakuacji na Ural. Czynności te, wymagające wiele wysiłku, spełniający pracownicy WIR-u (w szopyłach składzie, bo wielu z nich poszło na front) w obłożonym Leningradzie, stałe ostrzeliwanych przez nieprzyjacielską artylerię. Pracują w nieopalanym pomieszczeniu Instytutu, ślaniając się na nogach ze zmęczenia i głodu. „Jestem — mówi — z całym życiem Związku Radzieckiego, z całą jego tytoniową walką... Wojna dla nas jest wspólnym egzystencją, i na pewno go zdamy... Tu przygotowujemy ofensywę” — raportował dyrektor WIR-u o pracy swego zespołu. Tak, to też była ofensywa. Niemniej ważna od tamtej, znanej z historii i z komuni-aktów wojennych. I również zwycięska. „Ewakuowane” nasiona zapewniały krajowi dobrobyt. Prace badawcze nie ulegały przerwom ani na chwilę. Wzruszający jest opis, jak to na poletku doświadczalnym w Leningradzie stracone odłamkami pocisków tabliczki z napisami zastępuje się nowymi, albo jak w wygodzonym miejscu przewozi się do Instytutu wykopane ziemniaki... dla celów naukowych.

Te wojenne wspomnienia z frontu nasion i bułw nie mniej są ciekawe od wspomnień z okopów. Mówią o cichym bohaterstwie pracy, o wyrzuceniu na powierzchnię sobie odcinku, o samozaparcu. Co miał o tym do powiedzenia biolog angielski, J. Huxley, który po wojnie gościł w ZSRR? W czasopiśmie „Natura” napisał że: „część po-ostanowanego w Leningradzie zbioru nasion zjedzona podczas oblężenia”. Wystarczy te złośliwa bajkę skonfrontować z jednym dramatycznym obrazkiem recenzowanej książki: stary Szozukin specjalista od roślin olejnych umiera z głodu w swym gabinecie, a przecież w sąsiednim pokoju stoja skrzynki z pożywnymi nasionami... Tak wyglądała rzeczywistość.

Końcowe opowiadanie zbioru pod tytułem: „Przekształcenie gatunków” zapoznaje czytelnika z podstawowymi założeniami słynnej teorii mizu-rinowsko-lysenkowskiej, z metodami pracy eksperymentalnej akademika Lyseńki. Uderza nas od razu sposób przedstawiania zagadnień przez Fiszę. Zamiast suchego wykładu, a choćby nawet popularnego, przystępne informowania — mamy, chociażby ten rzeź, nowelkę. Nowela o przemianie gatunków! A więc „czarodzieje sadów” powodują jeszcze jedną szczyłową „przemianę gatunków”, tym razem literackich... u Fiszę. Czytalem te dzieje pracy dyplomowej Karapetiana, ucznia Lyseńki (temat pracy: wyhodowanie z twardej pszenicy jarej — twardej

Pogromcy głodu

ozimej), opis dziwów, dziejących się na jego poletku doświadczalnym, jakby to była powieść. Bo losy zasianej pszenicy „Hordeiforme 10” (tzw. Kubanki) ciekawie są, niż niejedna historia romantyczna heroiny o równie egzotycznym imieniu. Wy-nik „nieudanych” doświadczeń: o-trzymanie z twardej jarej pszenicy — odmian miękkiej ozimej pozwala Lyseńce pocieszyć doktoranta: „Udało się wam dużo więcej! Przekształci-cieście jeden gatunek w drugi”. I tak, czytelnik urzeczony żywym tokiem beletrystycznej narracji, nie zdając sobie z tego sprawy, jak i kie-dy, wulgarny zostaje w spłot za-gadnień agrobiologii, zaczyna rozu-mieć rewolucyjność teorii stadnalne-go rozwoju roślin (opartej na zało-żeniach materializmu dialektyczne-go) — w zestawieniu z ciasnym ewo-

lucjonizmem starej szkoły neodarwi-nistów, zapoznaje się z zasadniczymi tezami nowoczesnej genetyki (nie-znaczne nagromadzenie zmian ilo-sciowych, przekoki jakościowe, na-tle dziedziczenia cech nabytych). Wpatrzni w „cuda”, dziejące się na poletku wytłuskujemy co chwila ziarna nowych prawd, i nie dziwi nas w końcu ziarno miękkiej pszenicy, od-ryte w kłose między szklitami ziarnami twardej. Nie zdziwi nawet ziarno żyta w kłosie pszenicznym (co się trafiło na Zakaukaziu).

Bo — mówiąc słowami Lenina (przycyconymi w zakończeniu książ-ki) — dla materialisty świat jest bogatszy, żywszy, bardziej różnorod-ny, niż się wydaje, ponieważ każdy krok rozwoju nauki wykrywa w nim coś nowego”.

Warto, by ta opowieść o rzeczywi-

stości, ciekawszej od najmielszej ba-sni znalazła się w każdej wiejskiej świetlicy i w bibliotekach szkół rol-niczych.

P. S. Wypada zwrócić uwagę że to ostatnie opowiadanie, wydane zo-stało (pod tytułem: „Przemiana ga-tunków”) także przez „Książkę i Wiedzę” oddzielnie jako 45-stronowa książeczka. Oczywiście rzecz bez-zwzględnie zasługuje na rozpowszech-nienie, jak wyżej powiedzieliśmy. Je-dno tylko małe „ale”. Plan wydawni-czy wymaga koordynacji, a tu mamy przykład pewnej dwutorowości. Wydawnictwo PIWR-u ma tę prze-wagę, że prócz „Przekształcenia ga-tunków” — daje nam jeszcze inne rzeczy tegoż autora, w pewien sposób wiążące się tematycznie w cykl.

w.j.k.

Prawda wyprzedza marzenie

Zacznijmy od ostatniej opowieści, od której zapożyczyła tytuł, cała książka: „Wyprzedza legendę”. Jest to pouczająca historia zwycięskiej walki o zwiększenie plonów prosa. Południowo - wschodnie obszary dawnej Rosji często nawiedzała kłeska suchoty, nieosięgnięte przez palcy oddech pustyni. Chłopi porzucali ziemie, niszcząc przez suszę. „Najbar-dziej uporyczywa wojna nie pociągła-by za sobą takiej liczby ofiar” — pisał Lenin, z powodu głodu, jaki był wynikiem suszy 1901 r. i lat poprzed-nich.

Po każdej takiej suszy zwiększał się obszar, zajęty pod uprawę prosa. Wy-maga ono dwa razy mniej wilgoci niż pszenica, toteż chętnie je siali chłopi w tych stronach, widać w nim jedynę zbóż, odporne na kłeskę, chro-niącą przed głodem. Szereg przyczyn składał się jednak na to, że zwiększe-niu obszaru uprawy towarzyszył stały spadek wydajności prosa z hek-tara (nieodpowiedni czas siewu; nie-umiejętna uprawa, trudności walki z chwastami, podkreślana już w przy-słówiu: „proso pleć — ręce kłuc”; nierównocześnie dojrzewanie ziaren w wierzchach i wysypywanie się wcze-sniej dojrzalszych przed zbiorami itp.). Siano proso w tych stronach i po wprowadzeniu ustroju radzieckiego. Zdawało się, że gdy plan siewu nie został wypełniony, a na inne zboża było już za późno, można było „za-tać plan prosem”.

Lyseńko, sprawdzając raporty o plo-nach, nadsyłane z obwodów, zastana-wiał się nad przyczynami niskich urodzajów. Widział przecież w pro-sie roślinę szlachetną, z natury swej raczej zdolną do dawania wysokiego plonu. Przeprowadził w cieplarniach doświadczenia, starając się rozwiązać zagadkę prosa. Korzystając z popa-ri i inspiracji władzy radzieckiej i partii, ustalił w wyniku swoich ba-dań kompleks metod agrotechnicz-nych, zapewniających duży plon.

Uchwala Rady Komisarzy Ludo-wych i CK WKP(b) z października 1938 r. o sposobach zapewnienia sta-łych urodzajów w suchych południo-wo - wschodnich rejonach ZSRR po-łączenia zorganizowane w 1939 r. w kołchozach i sowchozach na przestrzeni 500 tys. ha zasiewy prosa, z zasto-sowaniem metod, ustalonych przez Lyseńkę. Akcje oparto na pracy ze-spółowej w kołchozach, wyznaczając premie za nadwyżki plonów. Kierownictwo zadania powierzono Aka-demii Nauk Rolniczych. Plon miał wynieść nie mniej niż 15 q z 1 ha, co kilkakrotnie przewyższało nor-malnie osiągane plony.

Brigada pracowników naukowych — pełnomocników Akademii na po-szczególne obwoły — wyrusza w teren z instrukcją: oprzeć się na pracy ze-spółowej, utrzymywać ścisły kontakt z terenowymi komitetami partyjnymi. I oto urzeczywistnia się gigantyczny eksperyment na „polku doświadczal-nym” o obszarze pół miliona hekta-

rów! Bał uchwala lutowego plenum CK z r. 1947, zalecająca podniesienie plonów prosa przy wykorzystaniu doświadczeń kołchozów, sowchozów i nauki rolniczej z lat 1939 i 1940 roz-szerza to „polko doświadczalne” na milion hektarów. I wynik zostaje osiągnięty. Jak wyglądała ta praca zespołowa, co data krajowi, uzbura-jając zrazem naukę, do jakich wy-ników dochodzili niektórzy ambitni kierownicy „ogniów” (jak np. słynny kołchoźnik Kazachstanu, Biersjew, który pierwszy w dziejach rolnictwa przekroczył swoim plonem prosa osiągalną górną granicę wydajności zbóż, ustaloną przez Williama na 200 q z 1 ha) — o tym szczegółowo i zajmująco opowiadają nam rozdziały książki.

Na te tej historii prosa trzeba podkreślić istotny „moral” prawdy „wy-przedzającej legendę”. Widzimy tu zupełnie zespolecie nauki z produk-cją: pracownicy naukowcy stają się kierownikami produkcji, zespoły w kołchozach — pomocniczym aparatem Akademii (240 tysięcy laboratoriów), rezultat zaś doświadczeń — to zwiększony plon, dający krajowi do-brobyt. Takie powiązanie założeń nauki z metodami organizacji pracy w kołchozach, znajdujące oparcie w prawodawstwie państwowym i ak-tualnej pomocy i kontroli partii — to możliwe jest tylko w ustroju ra-dzieckim. Ale też tylko taka jedność działania i dyspozycji zapewnić mo-gła zwycięstwo w walce o podniesie-nie urodzajów.

Spełnił się postulat — Timiriasewa: „Nauka powinna zejść ze swego piedestału i przemówić językiem ludu”.

Inny temat porusza pierwsza opo-wieść zbioru mówiąca o walce ze szkodnikami pszenicy, „czerepaszka” (żółwikiem), prowadzonej przez pra-cowników Instytutów Naukowych pod kierunkiem Lyseńki. Pluskwia-ten wysysa żdźbło, a jego larwy niszc-zają ziarno. Próbowano dotąd różnych środków dla zwalczania szkodnika (opylanie kurzem i pyłem tytonio-wym, różne chemikalia z gazami i walczyli, kopanie rowków, ręczne zbieranie owadów) — lecz daremnie. Wreszcie w stosie bezpłodnej „lite-ratury przedmiotu” Lyseńko wysze-rzał skromną pracę Wasiliewa. Okazało się, że „czerepaszka” ma śmie-rtelnego wroga: jest nim maleńki owad telenomus, składający swe jajeczka w jajeczkach pluskwia-ty. Larwy pasoszyty, rozwijające się wcześniej, żywią się zawartością jajeczek „cze-repaszki”, niszcząc w ten sposób jej potomstwo w żałku.

Dla uratowania plonu trzeba było wyhodować odpowiednią armię telenomusów zaważu, aby znowu to osiągnąć — zebrać odpowiednią ilość pożywy dla nich, tj. jajeczka plu-skwia-ty. Należało to już zrobić zimą, skoro miało się uratować plon 1939 r. Tu jednak tkwiła przeszkoda natu-

Prasa regionalna

W okresie rządów burżuazji naj-piękniejsze, postępowe tradycje w życiu naszego narodu były bądź po prostu przemilczane w „oficjalnej” „historiografii”, bądź zniekształcone i wyidealizowane z ich rewolucyjnej tre-sci.

Ujawnianie tych postępowych tradycji w całej ich rewolucyjnej krasie — oto jedno z zadań publicy-tyki współczesnej. Łączy się to z koniecznością demaskowania tej anty-kulturowej i antynarodowej postawy wielkiej zwłascza burżuazji polskiej, na jaką staczała się ona coraz bardziej w miarę gnicia ustroju ka-pitałistycznego i jego przechodzenia w ostatni okres swego historycznego rozwoju — w fazę imperializmu.

Ze względu na odmiennosć losów historycznych poszczególnych obsza-rów Polski w latach 1772 — 1918, oraz się minionych tradycji i po-wiązań, które odegrały tak wielką rolę w życiu poszczególnych części Polski jeszcze w latach 1918 — 1939 — trzeba obte te sprawy roz-patrywać w aspekcie poszczególnych regionów Polski. W świetle tych rozważań bardzo cenną incja-tywę wniosła ostatnio „GAZETA POZNANSKA” występując z całym cyklem artykułów (podpisanych F. M.) p.t. „RODOWÓD ZDRADY NARODOWEJ. MAGNATERIA WIELKOPOLSKA SOJUSZNIKIEM MONARCHII PRUSKIEJ”, w któ-rych odskania kulisy zdrady naro-dowej Radziwiłłów, Raczyskich itp. magnatów i obszników wiel-kopolskich.

Spodziewamy się, że „GAZETA POZNANSKA” nie poprzestanie na

tych, ale zapozna swych czytelników również i z drugim, plebejs-kim, narodowo - wyzwolicielskim nurtem, jaki żywo tętniał w Poznań-skim w okresie zaborów, z później-szym oddziaływaniem ruchów re-wolucyjnych niemieckich oraz z działalnością SDKPiL (a zwłaszcza Róży Luksemburg) i KPP na terenie obecnego województwa poznańskiego.

„Uznając Wilsona za wroga na-rodu polskiego nie życzymy sobie, by nazwisko jego tyle razy dźwię-niało, jak żywo tętniał w Poznań-skim w okresie zaborów, z później-szym oddziaływaniem ruchów re-wolucyjnych niemieckich oraz z działalnością SDKPiL (a zwłaszcza Róży Luksemburg) i KPP na terenie obecnego województwa poznańskiego.

Ten fakt jest wymownym dowo-dem, jak głębokie przemiany zaszy-już w ciągu tych ostatnich niewielu lat na terenie Poznania i woj. po-znańskiego, gdzie nurt rewolucyjny tętni dziś z niemielszą siłą, niż w innych częściach Polski.

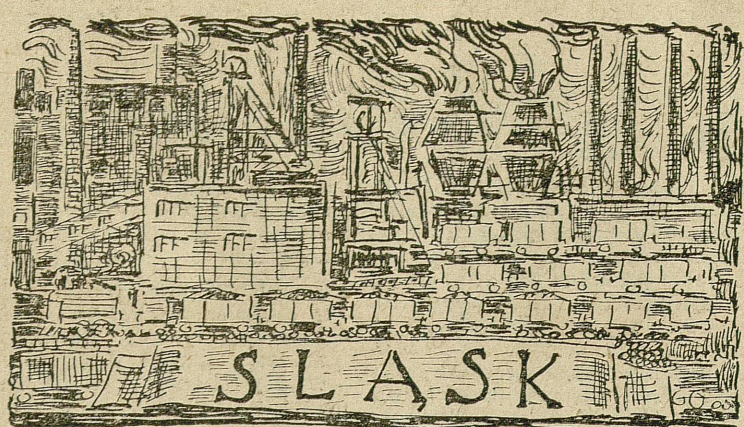
Na ostatniej naradzie 50 korespon-dentów robotniczo-chłopskich ze Stalowej Woli, Niska i powiatu ni-żańskiego, piszących do „NOWIN RZESZOWSKICH” zabrał głos m. in. hutnik, ob. Rożek, który, mówiąc o tym, że jak wielkim zainteresowa-niem śledzą robotnicy Stalowej Woli rozwój „NOWIN RZESZOW-SKICH”, domagając się poruszania w każdym numerze dziennika tych spraw, które poruszają i obchodzą teren. „Dotychczas jednak — mówi ob. Rożek (a uważa ta powinna za-

interesować korespondentów i in-nych gazet w Polsce) — korespon-denci nasi za mało popularizują nowe formy współzawodniczości, nie-dostatecznie informują o jego prze-biegu, w terenie, nie pokazują w wystarczającym stopniu przodowni-ków i racjonalizatorów, nie walczą o demaskowanie wroga klasowego, który przejawia suą dywersyjną działalność atakując szczególnie handel uspołeczniony”.

„NOWINY RZESZOWSKIE” co-raz więcej miejsca poświęcają sprawom kulturalnym swego terenu. W ostatnim czasie zanotować należy ostrą, ale słuszną krytykę celowości wystawienia „Szcześcia Franca” — Perzyskiego przez Teatr Ziemi Rzeszowskiej, piora Władysława Madejskiego, który słusznie pisze: „poprzedzić tylko na pokazaniu ohydy klasy wyzyskującej, bez przedstawiania tego co nowe i młode, to znaczy upaść w burżu-azyjny dekadentyzm...”. „pokazać natomiast bagno moralne burżuazji i przeciwstawić temu (jak to robił Perzyski — nasz przyp.) niepo-radność i ograniczoność proletaria-tu — to znaczy obiektywnie wystu-gniwać się ideologii burżuazyjnej...”

Ta recenzja, jak również artykuł Stanisława Witulskiego p.t. „Po-wiatowy Dom Kultury w Rzeszowie wobec swych zadań” (szkoda, że zbyt ogólnikowy) — świadczą o tym, że „NOWINY RZESZOWSKIE” za-bierają się coraz poważniej do roz-gryzania problematyki kulturalnej swego terenu.

S. C.



Kawczyk, Sliwa, Borkowski, Gajda...

TEMATÓW tu macie tyle, ile węgla pod ziemią! — zazdroszczą nam dziennikarze z innych okręgów, przyjeżdżając na Śląsk. Spuszczamy skromnie oczy — i nie zaprzeczamy.

Śląsk, to obszar, który dla mieszkanców innych części Polski kojarzy się wyłącznie z węglem, stalą, kominami i dymem. A przecież — mamy również „Zielony Śląsk” bez sadzy i dymów, rolniczy — Śląsk dwudziestu już — pierwszych — spółdzielni produkcyjnych! My sami zapominamy nie raz, że zaraz za przemysłowymi Gliwicami rozpoczyna się wieś, że wiecie wyciągowe kopalni rybnickich otoczone są wokół szachownicami pół; że Pęciszyna, Cieszyń, Zawiercie, Lubliniec, Częstochowa, to w zasadzie powiaty rolnicze, z „rzadka” tylko przetykane kominami fabryk... Są więc dwa Śląski: „CZARNY” tworzący właściwie jedno potężne, 2-milionowe miasto, ciągnące się od Dąbrowy Górniczej, przez Będzin, Sosnowiec, Szopienice, Mysłowice, Katowice, Siemianowice, dalej — przez Chorzów, Lipiny, Bytom, Zabrze, aż po Gliwice; — i „ZIELONY”, gdzie co raz częściej traktory ziorą między, gdzie kulał ma coraz mniej do powiedzenia, gdzie w ostrej walce klasowej tworzy się nowa wieś. Dziś skupimy się wyłącznie na okręgu przemysłowym — na SERCU PLANU 6-LETNIEGO, które bije i pracuje dla pokoju i socjalizmu.

Wzieliśmy dobry start dla realizacji zadań drugiego roku Szóstolatki; posługując się gwarą sportowców (których na Śląsku jest przecież najwięcej) — wysłaliśmy dobrze z dotkowi. To jest: dużo, znacznie więcej niż rok temu węgla wyszło z dołu w pierwszych miesiącach roku 1951.

Gdzie tkwi tajemnica sukcesu? Nie tylko w tym, że jak to powiedział Prezydent Bierut na V Plenum, że przesiadamy się szybko na konia WYŚZEDZAJ TECHNIKI, że pracujemy coraz nowocześniejszymi i sprawniejszymi maszynami, że mechanizujemy wiele robót wykonywanych dotąd ręcznie (wzemy np. taki „kacz” dziób! — wyrubał nim można w ciągu tygodnia tyle, ile w ciągu miesiąca wyrębywał Markiewicz! Rzecz bowiem w tym, że tego konia wyższej techniki opanowują i dosiadać go nowi DZIELNI LUDZIE. Dobrze jest, jeśli każda dziedzina naszej śląskiej pracy kojarzy się z nowymi a już sławnymi nazwiskami. Bo to znaczy — że rosną u nas nowe socjalistyczne kadry.

ALFRED KAWCZYK, zetem powieć z kopalni „Bytom”, nie różni się niczym od swych towarzyszy pracy. Alfred Kawczyk rzucił hasło: „CYKL NA DOBĘ!”, otwierając nową kartę w kronice socjalistycznego współwzrostu w przemyśle węglowym. Apel do pracy cyklicznej, masowo podjęty przez górników śląskich, a wywołujący oprócz tego nową falę konkretnych zobowiązań długoterminowych, podejmowanych przez towarzyszy filarów i chodników, pozwolił zwiększyć znacznie wydobyte węgla, tego chleba dla przemysłu. Tracącemu coraz bardziej tu na Śląsku prawa obywatelskie piątkiem okrzyków, dawałi górniczy jedną literę: „N o t o c y k l i!” — oto ich toast, który wznoszą codziennie — na zdrowie Planu 6-letniego!... Codziennie! Nie raz nawet i częściej: w kopalni „Mikulczyce” zaboga ściany w oddziale X, prowadzona przez brzdąkistów Teodora Skrzypczaka i Joachima Niewiedziatę, dała w miesiącu 35 cykli, przekraczając o 7 swoje zobowiązanie; w kopalni „Barbara — Wyzwolenie” brzdąka Mariana Salomona zamknęła w ciągu miesiąca 34 cykle; w kopalni... przykładem takich przytoczyć można by więcej. A w kopalni „Mysłowice” opracowano już harmonogram na 2 CYKLE NA DOBĘ!

Był taki, dość utarty, zwrot dziennikarski: „Kopalnie śląskie tętnią rytmem wzmożonej pracy...”. Zwrot może nawet i udany, ale z tym rytmem było trochę niebardzo; w wielu kopalniach pracownicy nie rytmicznie, a zrywami. W pierwszych dniach miesiąca, krzywa wydobywania opadała — gdzieś około 10 do 15-go brano się dopiero poważnie do roboty — by pod koniec miesiąca ciągnąć co sił, a nawet i ponad siły. W efekcie, plan miesięczny był urotowiany, ale osiągnięto to w zbitości — nerwowej i gorączkowej atmosferze, kosztem nadmiernego wysiłku załogi. I znowu pogrążano się w błogiej drzemce, by obudzić się dopiero w trzeciej dekadzie... Rozpoczęła się więc w górnictwie WALKA O RYTMICZNOŚĆ PRACY, o to, by kopalniane zegary nie spóźniały się w pierwszych dniach miesiąca i nie nadganiły następnie straconego

lekkomyślnie czasu. Ludzie śląscy „regulują” w kopalniach zegary i kalendarze — nastawiają się na rytmiczne wykonywanie planów produkcyjnych.

A hutnictwo? Tu zapoczątkował ruch TOW. SŁIWA ze stalowni hut „Bankowej”, rzucając hasło współwzrostu o PRZEDŁUŻENIE ŻYWIOTNOŚCI PIECÓW MARTHENOWSKICH — o danie więcej stali dla budowy podstaw socjalizmu. Bo do tej pory było tak, że, gdy jeden piec osiągał w ciągu kampanii 400 i 500 wytopów, to drugi, taki sam, tylko 200. Stalownik „Bankowej”, tow. Stefan Sliwa doszedł do wniosku, że to nie piec winny, ale ich załoga. Wzburzył się na doświadczeniach radzieckich towarzyszy, stalownicy wydali więc walkę przedwczesnemu zużyciu się sklepień pieców martenowskich. „Bankowa” rzuciła hasło — podchwycili je stalownicy wszystkich naszych hut. Pierwsze wyniki zapowiadają, że dzięki nowej formie współwzrostu, przemysł hutniczy będzie mógł dać Państwu dziesiątki tysięcy ponadplanowych ton stali!

Stylizację już o metodzie inż. Kowalewa? — Metoda ta wychodzi z analizy człowieka, jego sposobów pracy, ruchów, chwytów w centralnym punkcie procesu produkcyjnego. Badając i głęboko analizując pracę kilkunastu robotników, zatrudnionych w tym samym zakładzie pracy przy jednakowej robocie, Kowalew opracował najlepszą, najbardziej racjonalną metodę wykonywania danej czynności, a następnie — upowszechnia ją wśród całej załogi. Innymi słowy: metoda Kowalewa polega na: równaniu w górę, na podciąganiu słabszych robotników do poziomu produkcyjnych. — Młody, świeży — ubezpieczony inżynier Katowickiej Fabryki Sprzętu Górniczego, RYSZARD BORKOWSKI, jako pierwszy w Polsce wystąpił z inicjatywą zastosowania w naszych zakładach metod radzieckiego inżyniera — nowatora. Inteligencja techniczna Śląska, zebrana na zwolnionej w związku z wezwaniem Borkowskiego naradzie, doszła do zgodnego wniosku, że metodę Kowalewa zastosować można absolutnie w każdej gałęzi przemysłu i że wszędzie przyniesie ona znaczny wzrost wydajności i produkcji. W hutnictwie — jak stwierdził inż. Borejdo — zastosowanie metody Kowalewa da jeszcze w r. 1951 około 100 tys. ton stali ponadplanowej produkcji! — Metoda Kowalewa, to nowa broń mas pracujących Śląska w walce o pełną realizację planów gospodarczych.

I wreszcie — TEODOR GAJDA, ślusarz hut „Zygmunta”, czołowy racjonalizator, awansowany ostatnio na stanowisko referenta usprawnień. — Gajda? — nie styszeliśmy o takim inicjatorze nowego współwzrostu w produkcji. Macie rację bo tu chodzi o Teodora Gajdę i napisaną przez niego sztukę teatralną „OBROTNICA”, którą wystawił zespół klubu fabrycznego Domu Kultury przy hucie „Zygmunta”. Jest to niewątpliwie najbardziej znaczące wydarzenie kulturalne ostatnich miesięcy na Śląsku. „Obrotnica” opowiada o życiu i pracy hutników — postacie sztuki tchną bezpośrednio i prawdą. Sztuka Gajdy jest przykładem ścisłego POWIĄZANIA PRODUKCJI I KULTURY — służy wielkiej sprawie propagandy pogłódzie zagadnień produkcyjnych. — Oddział katowicki ZLP otoczył utalentowanego dramaturga — robotnika troskliwą opieką. Po dokonaniu poprawek „Obrotnica” wejdzie na scenę zawodowych teatrów śląskich. Zaznaczyć należy, że Gajda pracuje obecnie nad dwoma nowymi utworami scenicznymi.

Kawczyk, Sliwa, Borkowski, Gajda... Cztery nowe nazwiska pierwszych miesięcy drugiego roku Szóstolatki, symbolizujące twórczą inicjatywę robotników i inteligencji technicznej Śląska, inicjatywę, gwarantującą wykonanie ambitnych zadań Wielkiego Planu. Prowadzone przez SŁASKĄ ORGANIZACJĘ PARTIJNĄ — która, jak powiedział tow. Minc na VI Plenum KC PZPR, „...zrobiła wielki krok naprzód w dziedzinie oświatniczej zagadnień gospodarczych... kierując mniej ogólnikowo, a bardziej konkretnie, mniej przez komenderowanie, a bardziej w oparciu o znajomość rzeczy i konkretne codzienne przełamywanie trudności...” — masę pracujących śląskiego okręgu przemysłowego, jednocząc się w potężnym frontie narodowym, z rozmachem wzięły na warsztat — Plan 1951. Chodzi o to, by go przedterminowo wykonać!

Zbigniew Dutkowski

Czujność na froncie narodowym

Walcząc o umocnienie i pogłębienie frontu narodowego na wsi trzeba go pilnie strzec przed niebezpieczeństwem oportunistycznego wypaczenia.

Są bowiem jeszcze na wsi tacy działacze, którzy wciąż jeszcze nie rozumieją, że dziś klasa robotnicza reprezentuje w całej pełni interesy narodu. Nie dostrzegają oni tego, że front narodowy w Polsce wyrasta na bazie głębokich przeobrażeń w strukturze klasowej i treści społecznej narodu polskiego, i że istotnym warunkiem rozszerzenia tej bazy jest nie osłabianie, lecz zaostrezenie czujności wobec zakusów międzynarodowego kapitału (jak również jego popleczników i slugusów w kraju) na naszą suwerenność i niezależność narodową, na naszą siłę gospodarczą.

Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Lubnianach (pow. Opole) sądził inaczej.

Zwolnić bowiem Kulaka Pasonia z obowiązku dostawy przeszło pół tony zboża. W dokumentach GRN zapisano: „Pason jest dobry obywatel, bo zakontraktował różne uprawy, jak buraki i len...”. Dlatego go zwolniono! Okazało się jednak, że „dobry obywatel” Pason wcale nie zakontraktował buraków ani lenu, tylko... 0,37 ha rzepaku. To wszystko.

Inny przykład: szynkarz Ciurlok, wyzyskiwacz, który zbija majątek na rozpizaniu chłopów, zwolniony został przez przewodniczącego z obowiązku sprzedaży 700 kg. zboża.

Takich przykładów jest więcej. W pracy GRN tego nie widać ani opar-

cia się na małorolnym, ani walki z kulakiem. Widać natomiast ugodę klasową w imię złe pojęte „frontu narodowego”.

A walka toczy się dokoła. W gminnej spółdzielni bogacze mogą wykupywać, co chcą, bo brak kontroli. Zdarzają się też w okolicy wypadki spekulacji zbożem: np. bogacz, Jan Nogosek, sprzedał za 90 zł metr żyta biednemu chłopu obarczonymu dzieściorgiem dzieci! — Podobnych wypadków łajdakiego wyzysku klasowego przewodziący GRN w Lubnianach nie dostrzegają. Bo on wykombinował sobie swój własny, wypaczony front narodowy, z kulakiem Pasonem i szynkarzem Ciurlokiem na czele.

Hasło frontu narodowego większość chłopów pracujących pobudziło do tym większej aktywności społeczno-politycznej, do zaostrezenia czujności wobec wszelkich zakusów wroga klasowego, godzącego niejednokrotnie w podstawowe interesy narodu i państwa.

Tak zrozumieeli hasło frontu narodowego chłopci małorolni Waleciak, Sobanski i Wojtyła, aktywiści Związku Samopomocy Chłopskiej, wchodzący w skład obywatelskiej komisji podatkowej, powołanej przez Gminną Radę Narodową, w Grabicy (pow. Piotrków) do czuwania nad prawidłowością wymiarów podatkowych od gospodarstw rolnych.

Wiadomo, że w gromadzie i gminie „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi”. Nic więc dziwnego, że członkowie komisji

obywatelskiej, której społecznym obowiązkiem jest czuwanie nad tym, ażeby biedniejszemu chłopu nie dano się krzywdzić, a bogacz nie ukrywał swoich dochodów, nie spekulowali i nie oszukiwali — zaraz w pierwszym dniu swojej działalności wykryli u kulaków we wsi Syski podzielone fikcyjnie obszary ziemi, o łącznej powierzchni 74 ha.

I tak na przykład bogacz Józef Bykowski, właściciel kilkunastohektarowego gospodarstwa, wnosil podatki z 5,38 ha, na reszcie zaś „rozparcelowanych” włości usadowił swą żonę i córkę. Bykowski, okłamał Gminną Radę Narodową jakoby był chłodem średniorolnym, zaś żonka i córka udawały biedotę wiejską.

Inny kulak, Franciszek Kłosik, płacił podatek od 10 ha ziemi, podczas gdy w rzeczywistości posiadał 25 ha, także fikcyjnie podzielonych między synów, którzy w międzyczasie potrafili nawet pozmienić nazwiska. Podobnie postępowali bogacze Jan Kotlicki, Zygmunt Kobylecki i inni.

Posiadacze fikcyjnie rozparcelowanych posiadłości ukarani zostali grzywną, jak również muszą oni uregulować zaległy podatek gruntowy i FOR z karami i procentami.

Inicjatywa obywatelskiej komisji podatkowej GRN w Grabicy spotkała się z wielkim uznaniem miejscowej ludności mało i średniorolnej. Bo co by to było, gdyby na przykład taki „średniak” Bykowski i jego „małorolna” rodzinna wkradli się do frontu narodowego? Wojciech Drygas

Nie ma człowieka?

Skarżył mi się niedawno jeden z pisarzy, że mimo całego bogactwa toczącego się życia — nie bardzo ma o czym pisać. Bo jakie to bogactwo? Przyzwyczajony — mówił — okres inwazji problematyki technicznej na literaturę: system Korabielnikowej, Kowalewa, Szulca, obniż kosztów własnych, upłynienie remanentów, oszczędność na oliwie, benzynie, prądzie elektrycznym, w oranu, zasiewach, zbieranie odpadków, walka o cykliczność w wydobywaniu węgla, system dwójkowy, trójkowy w budownictwie — to wszystko pretenduje do literackiego wyrazu, lecz jest — rzeczby można — niefortogeniczne, nieliterackie. Dlatego zawodzi wiele prób podejmowanych przez pisarzy, nie udają się powieści, nowele, „nie wychodzą” reportaże. Co innego, gdyby chodziło o nowego człowieka! Na niego przyjdzie czas dopiero po wykonaniu Planu 6-letniego.

Szukając człowieka (Putrament mówił, że trzeba postębić profil psychologiczny w naszych literackich bohaterach) — posłaliśmy na naradę przewodniczących Wydziałów Oświatowych gminnych i powiatowych Rad Narodowych.

Dowiedzieliśmy się na początku, że w dziedzinie oświaty podstawowej województwo łódzkie wykonało zaledwie w 80 proc. plan. 553 absolwentów liceów pedagogicznych, nie pokryło nawet naturalnego ubytku sił nauczycielskich. 120 etatów w powiatach i gminach pozostaje nadal nieobsadzonych.

— Znowu zapomnieli o ludziach — zauważył kłasnolega — literat — choć warto by zobaczyć jak wygląda teren bez należytej obsady nauczycielskiej.

I skwapliwie notował nazwy gmin, borykające się z brakiem kadry oświatowej.

Usłyszeliśmy, że bieżącego roku liczba szkół w województwie o 1-nym nauczycielu zmniejszy się z 385 na 255, natomiast szkół o 2 nauczycieli przybędzie z 284 na 305. Podobnie liczba szkół obsługiwanych przez 3 nauczycieli zmniejszy się z 232 na 200. Odpowiednio do tego wzrośnie liczba szkół o 4 nauczycieli z 531 na 672.

Energiczna walka o wyższą organizację życia szkół podstawowych zaskoczyła i zdumiała mego kolegę.

A gdzie macie bazę na ten jakościowy wzrost? — spytał nieomal na głos, gdzie budowa nowych szkół, gdzie remonty?

Na nowym wchodził pracownicy oświaty z różnych stron. Kolega literat zdumiewał się coraz bardziej. Powiatowe Rady Narodowe nie zawsze mogą opierać się na inwestycyjnym, przebiegającym przez gromady i gminy. Szkoły powstają niekiedy jak przysłowiowe grzyby po deszczu. Stawiają nowe, remontują za-

niedbane same chłopi, zainteresowani w kształceniu dzieci. Tak było w powiecie skierniewickim, gdzie chłopi postawili szereg nowych szkół własnymi siłami. I w wielu innych powiatach ruch ten przebiegał żywo. Oczywiście, ruch ten trzeba włączyć w plan, otoczyć opieką, pomagać przy wykonaniu. Bywa przecież nieraz, że w okolicy znajdują się majsterkowicze, którzy postawią mury, ale na ślusarce, czy precyzyjnej stolarni już się nie znają. Budynek niszczeje, idzie na marne cenna inicjatywa gromadka.

Przekonałem kolegę literata, aby pójchał w teren. Zobaczyć chłopów wiążących się w grupy producentów, oparto o państwo — spółdzielczy rynek zaopatrzony i zbytu. Idzie wiadomość — z pewnością więc ujrzy pierwsze zespołowe zasiewy indywidualnych gospodarzy, zespołową pomoc sąsiedzką przy orce, dostrzeże zmiany w układzie sił wytwórczych na wsi w stosunku do dawnej produkcji „prywatnej”.

I w raporcie (nawet o jakimś pełnym rozmachu komitecie rodzicielskim) bo tam — człowiek, uważaj, iż działa on na gruncie przekształcającej się bazy stosunków produkcyjnych na wsi. Jedyny i niepowtarzalny w historii warstwy chłopskiej proces! Jakże wart literackiego opisu! I jaki rzeć by można — fotogeniczny! Piotr Pigwa

Książka w rękach chłopu

W okresie Zjednoczenia Ruchu Ludowego pewien chłop z pow. rawskiego-mazowieckiego, delegat na kongres, zawiązał do prywatnej księgarni z zamiarem kupna jednej z powieści napisanych przez przywódcę ruchu ludowego Marszałka Kowalskiego.

Sprzedawca był wyraźnie zaskoczony tytułem książki i nazwiskiem autora. Okazało się, że takich książek sklep nie posiada. Chcąc jednak kupującego — jak to się mówi — dobrze obsłużyć, podjął z półki inną książkę i wręczył delegatowi, „wzięcie tu, tu się także pisze o chłopach”. Delegat rzucił okiem na jej tytuł i zdębiał: trzymał w ręku „Historię żółtej cizemki”.

Zagadnienie wykwalifikowanego personelu księgarskiego w gminnych spółdzielniach jest szczególnie ważne w chwili obecnej, kiedy w dotychczasowym systemie organizacji zbytu książki znalazłoby właściwe formy dostarczenia jej ludności wiejskiej. Do niedawna zakup książki przez chłopów sprowadzał się do szczęśliwej okazji, gdyż tylko gździejście na terenie kraju podejmowane były próby uruchamiania stałych punktów księgarskich w sklepach GS-ów. Chciał chłop książkę — musiał jechać po nią do miasta.

Godzone warunki zakupu książek dla ludności wsi, ofensywa o zdobycie chłopa dla masowego czytelnictwa i zachęcenie go do kupna książki, rozwinęła została w maju ub. roku i objęła 3 tys. sklepów gminnych spółdzielni. Sklepy te uruchomiły stałe działy księgarskie.

W ten sposób gminna spółdzielnia stała się istotnym narzędziem walki o podniesienie kultury chłopskich mas pracujących, a każdy sprzedawca sklepowy jej aktywnym bojownikiem.

Ale, niestety nie zawsze tak bywa. Sam byłem świadkiem, kiedy do sklepu gminnej spółdzielni w Bogumiłowicach nadeszła skrzynia z książkami. Odbito skrzynię, opróżniono ją z zawartości i dopiero zaczęto wydzybiać. Jaki to interes dla spółdzielni, z towarami spożywczymi i monopolowymi? Co my zrobimy z taką masą książek? Kto to kupi, u nas, w Bogumiłowicach? Nauczyciel? Nadzorca przejazdu kolejowego? Referent z Gminnej Rady Narodowej?

Ostatecznie na moją interwencję umieszczono książki w „dobrym punkcie” na półce między stoikami z konfiturą i papierosami. Lepszego miejsca kierownik nie potrafił znaleźć. Pierwsze — dzieci pobiegły do domów z wieścią, że w „sklepku założono prawdziwą księgarnię”. W mig do spółdzielni zaczęli się tłoczyć chłopci,

kobiety, młodzież — dosłownie wszyscy. Kierownik zrobił wielkie oczy. W ciągu jednego tylko popołudnia sprzedał cały zapas książek. Po nową skrzynię obiecywał chłopom udać się w dniu następnym do Skierniewic.

Jedną rzecz była w tym całym zdarzeniu niepokojąca... Personalnie sklepowy traktował ten nowy odcinek swojej pracy wyłącznie z handlowego punktu widzenia: „Idą książki — trzeba sprowadzić więcej bo to się o p i a c i!” Linia najmniejszego oporu, bo jeśli nie otoczy się książką opieką i nie zainteresuje nimi chłopów? Wtedy rzeczywicie można liczyć tylko na nauczyciela, nadzorcę przejazdu kolejowego, lub referenta Gminnej Rady Narodowej.

Z wielkim więc uznaniem należy powitać inicjatywę Centrali Obrótu Księgarskiego „Dom Książki”, która zorganizowała ostatnio we współpracy z Centralą Rolniczą Spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej” kilkadziesiąt czterech i pięciodniowych kursów dla sprzedawców książek w gminnych spółdzielniach. Otrzymali oni niezbędne wiadomości i wskazówki zarówno teoretyczne, jak i praktyczne, dotyczące masowej sprzedaży książek na wsi.

Ale to jeszcze nie wszystko. Każdy uczestnik kursu otrzymał do ręki katalog pt. „Książka w gminnej spółdzielni”, wydany nakładem „Domu Książki”. Katalog ten, przeznaczony dla sprzedawców i czytelnika wiejskiego, w sposób prosty i zrozumiały daje dużo cennych objaśnień o wielu książkach, znajdujących się w sprzedaży z zakresu działów: rolniczych, polityczno-społecznych, z literatury pięknej, dla dzieci i młodzieży oraz popularno-naukowych.

Specjalny rozdział katalogu zaopatrzonego krótkim wstępem, poświęcony jest wydatnowi, pokazującym osiągnięcia przodowników pracy i racjonalizatorów w przemyśle i rolnictwie. W dziale książek o treści polityczno-społecznej podano najbardziej proste i zrozumiałe dzieła klasycznego marksizmu oraz książki omawiające najważniejsze zagadnienia Planu 6-letniego, walki o pokój itp. Literatura piękna reprezentowana jest przez książki klasyków literatury polskiej — Konopnickiej, Krasińskiego, Mickiewicza, Orzeszkowej, Prusa, Sienkiewicza i Żeromskiego oraz współczesnych autorów polskich i radzieckich.

Katalog obejmuje tytuły 250 książek z objaśnieniami o treści poszczegól-nych tomów, a nadto urozmaicony wszechstronnym informatorom dla

Antoni Mech Razem — ale jak?

Zanim rozpoczęło się zebranie, chłopci małymi grupkami podchodzili do świetlicowej gazetki ściennej, aby przeczytać półgłosem artykuł zetem-powca Józka Kwaśniaka o planowym skupie zboża. Artykuł opatrzoney został pomysłowymi rysunkami. Pierwszy z nich przedstawiał wesołe, roz-spiewane twarze, furmanki z wyładowanymi ziarnem workami, flagi czerwone, a pod nim krótki, bezpretensjonalny wierszyk: „Kto zboże państwu sprzedaje — ten ojczyźnie sił dodaje”. Drugi rysunek kontrastował z pierwszym: kulak z drapieżną twarzą zasłania rękoma pękate wory ze zbożem.

— To pewno Goliński — domyślali się chłopci. Ten także ma gębę dziobatą, zawistną... Dobrze go wyrzysować, co?

Plan tegorocznej kampanii siewnej w Będkowie przedstawił zebrany chłopom prezes koła gromadzkiego Zw. Samopomocy Chłopskiej Marciniak. A więc pszenicy o 25 hektarów więcej niż w roku ubiegłym, jęczmienia o 18 ha, owsa tyle a tyle, potem rośliny oleiste, kontraktowe i w końcu okopowe. Plan ułożył koło ZSCH.

Kiedy otworzono dyskusję, podniósł się od razu kulak Goliński, pan na 18 hektarach.

— Mnie tam te wasze plany nie wiele obchodzą — powiedział obojętnie. — Zboże zęsta mi przysusowo wymyślić, to się teraz sami martwie. Mnie plan niepotrzebny: sieję co chcę i zbieram jak chcę. Gospodarz jestem na własnym — maszyn mam swoje. O pomoc nie będę pytał!

W salce świetlicowej zavrzało jak w ulu.

Pierwszy odpowiedział średniorolny Klimczak.

— Jakieście, Goliński, skrywali przed państwem zboże po różnych schowkach, to i dostacie od nas nuczke. A tutaj, na zebraniu, nie mieszcacie grochu z kapustą. Nie udawajcie niewiniątka. Bo my znamy się na tym...

— Ja tam liczyć nie potrafię — wrzasnął Goliński — nieuczony jestem. A w waszym planie liczby. Na co nam plan?

— Na co? — odpowiedział małorolny Pietrzak. — A na to, że tutaj o Plan Szóstolatki chodzi. Nową Hutę budujemy, kombinat włókienniczy w Piotrkowie, wszędzie planowo i planowo. Tylko my, w Będkowie, wciąż jeszcze nie umiemy jak trza gospodarzyć. Rozumiecie teraz Goliński?

Goliński poczerwieniał, skulił się.

Prezes Marciniak wyjął notes.

— Więc jak będzie? Plan przyjmujecie?

— Z kąta salki poderwała się Kowalikowa i pisała dyszkantem, aż się chłopci zasmiali.

— Ja, proszę prezesa, umyśliłam sobie w te walkę o pokój zakontraktować dodatkowo 0,35 ha lenu. Taka ma być moja odpowiedź podługaczom amerykańskim...

Za nią wystąpiła Matyjkowa. Za Kowalikową i Matyjkową, poszli inni. Ten dodatkowo kontraktował rzepak, ów zobowiązywał się siał len i sadić buraki cukrowe, a małorolny Bartosik zapisał się nawet na ziola leńskie. Przy okazji zobowiązano agronoma gminnego, ażeby częściej przyjeżdżał do wsi i służył radami. Postanowiono obsiać wszystkie pola siewnikami rzędowymi i przez racjonalną uprawę ziemi podnieść w tym roku plon pszenicy o 2 q z hektara, jęczmienia o 1,5 q, żyta o 3 q, ziemniaków o 30 q, buraków cukrowych o 50 q i rzepaku o 2,5 q.

Tylko bogacze Goliński, Jaskółski i Pietrucha milczeli.

Kiedy rozpoczęto omawiać ostatni punkt porządku dziennego — pomoc sąsiedzką, czy wszystkich skierowały się w stronę kulaków.

Goliński podniósł z wściekłością głowę.

— A czy ja dla ludzi jestem taki zły? — wybuchnął. — No, powiedzcie?

Wstała Matyjkowa.

— Na przednowku było, ubiegłego roku. Posłałam do niego kupić ziemniaków. Ile za metr wziął? Tysiąc złotych, chociaż cena wynosiła 450. To ten, co liczyć nie potrafi, bo niby nieuczony.

— Zgoda buduje — niezgoda rujnuje — przerwał jej drugi bogacz Jaskółski. — Pogódmy się i kwita...

— Jaka zgoda? — pisała dyszkantem Kowalikowa. — Komu na dobre wychodzi kulacka przyjaźń? — wyciągnęła dłoń w kierunku gazetki ściennej. — O, to ty jest krwiopijka... Wytrzeszczasz się gały z tego obrazka i ino patrzysz, jakby tego bidoka oszukac... Taka to twoja przyjaźń!

A średniak Klimczak dodał:

— Już my was. Jaskółski i Goliński w tym roku przypilnujemy. Nie wy-magacie się od uczciwej pomocy sąsiedkiej. Nie myślcie, że popuszcimy wam dlatego, że jutro i tak przybędą do nas chłopaki z Państwowego Ośrodku Maszynowego, aby podpisać z nami umowy na wykonanie traktoorem i siewów.

Antoni Mech

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redakcyjne Komitet
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska 12, Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starowkiewicza Nr 7
Prenumerata i Kolportaż: P. P. K. „Ruch”, Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727 k, Tel. Redakcji 751-80, wewn. 23 i 80, WYD.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. OSW. C Z Y T E L N I K
REDAKCJA NIE ZAMÓWIŁYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłata na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzywy 16, Chmielna 25.
W a r s z a w a p r e n u m e r a t y:
miesięcznie 3-zł.; kwartalnie 9-zł.; półrocznie 18-zł.; rocznie 36-zł.;
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO. Warszawa
1-6842/110 z zaznaczeniem „za tyc” „Wieg”
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Osw. „Czytelnik”, Marszałkowska 3/5
2-B.16323